



JUNE SUTTON



KSIEŻYCOWE WZGÓRZE

Przełożył Robert Jawień

Rozdział I

Niewyraźna sylwetka mężczyzny zamajaczyła we mgle. Na koniu wyglądał niczym jeden z jeźdźców apokalipsy. Wszystko wokół wydawało się nierealne i ponure.

Luiza dostrzegła go, zbliżając się do zakrętu. Nagle oniemiała z przerażenia. Koń zaczął wierzgać i złowrogo parskać. Jeździec z trudem utrzymywał się na jego grzbiecie. Po chwili jednak zwierzę uspokoiło się.

Mężczyzna zeskoczył z konia w tej samej chwili, gdy Luiza wysiadła ze swojego Mini.

— Chce pani zginąć? — zapytał, nie ukrywając swego zdenerwowania.

— A pan? — powiedziała zmieszonym głosem. Cały czas starała się odzyskać spokój, który utraciła przed chwilą.

— Brał pan ten zakręt jak szalenciec! — uniosła się gniewem.

Spojrzała na mężczyznę. Był bardzo wysoki i dobrze zbudowany. Miał na sobie czarny strój, który dodawał mu dziwnej powagi.

„Boże, dopomóż mi, to może być sam diabeł” — pomyślała. Głośno zaś rzekła:

— Miał pan szczęście, że udało mi się szybko zahamować. Jechał pan samym środkiem szosy. Mogłam na pana najechać.

Nadal była zdenerwowana. Rumak był teraz spokojniejszy. Zbliżyła się do niego i pogłaskała go.

— Przykro mi z powodu konia.

Mężczyzna potrząsnął głową z niedowierzaniem.

— Zastanawia mnie, jakim cudem wam, kobietom, udaje się zdać egzamin na prawo jazdy.

— Jeśli chce pan wiedzieć, to jestem bardzo dobrym kierowcą. Zdałam egzamin bezbłędnie. Nie jechałam szybko. Mój samochód dobrze trzyma się nawierzchni, nie skręca na środek jezdni, czego nie można powiedzieć o pańskim koniu!

Zacisnęła kształtne usta, zapięła wiatrówkę i naciągnęła kaptur na jasne włosy.

Mężczyzna podniósł rękę i wskazał drogę, którą Luiza tu przyjechała.

— W takim razie, jako doświadczony kierowca, bez wątpienia zauważyła pani tablicę z napisem: „Droga prywatna”.

— Mówi pan o tej połamanej, starej tabliczce ukrytej w wysokiej trawie.

— Zgadza się.

Przypomniała sobie, że ją dostrzegła, lecz nie przyjrzała się jej dokładnie. Myślała wtedy, że jest już blisko miasta Hengeford.

— Dokąd pani jedzie?

— Do Little Hengeford.

— Proponowałbym jechać prosto, potem w lewo, kiedy dotrze pani do rozwidlenia. Tylko proszę jechać ostrożnie. Za bardzo cenię młode drzewka. — Powiedziawszy to, wsiadł na konia i odjechał.

— Ale zadufany w sobie... — mruknęła, wracając do samochodu. Nie raz już spotkała takich ludzi.

W jej oczach pojawił się smutek. Udało jej się przejechać z Londynu do West Country, nie zboczywszy ani razu z drogi, a musiało się to zdarzyć. Zaczęła się zastanawiać, jak mogło do tego dojść. Czy była zmęczona? Straciła na sekundę zdolność koncentracji?

Jednak mężczyzna z całą pewnością jechał środkiem tej wąskiej drogi.

„A mimo to prawil mi morały” — pomyślała, włączając silnik. Wtem ujrzała zbliżającego się do niej, poznanego przed chwilą mężczyznę.

— Powinienem był zapytać, czy nic się pani nie stało. Żadnych stłuczek czy czegoś w tym rodzaju? — zagadnął.

Zaskoczona odrzekła, że nie. Wtedy znowu odjechał.

„O, do licha — pomyślała — dlaczego to musiała być prywatna droga?”

Dotarła wreszcie do Księżycowego Wzgórza. Gęsta mgła niemal całkowicie spowijała dom.

To ponure miejsce wyglądało teraz jeszcze bardziej niesamowicie niż zawsze. Weszła do szarego kamiennego budynku i zadzwoniła. Widziała światło w jednym z okien na pierwszym piętrze, lecz nikt nie pojawił się przy wejściu.

„To jest teraz mój dom” — powiedziała sobie, próbując otworzyć drzwi. Były zamknięte. Zadzwoniła jeszcze kilka razy, aż wreszcie witraże pojaśniały i drzwi uchyliły się.

— Tak? — wymamrotała kobieta.

— Pani Smith? To ja. Luiza Clark.

— O... przepraszam.

Doreen Smith, nowa gospodyni na Księżycowym Wzgórzu, była wysoka, przygarbioną kobietą. Miała farbowane rude włosy i wiecznie chodziła z papierosem w ustach.

— Sądziłam, że przyjedzie pani wcześniej. Pani list...

— Wiem. Przykro mi. Na drodze do Hengeford spotkałam dziwnego człowieka na koniu.

— Och! W tych stronach trzeba być ostrożnym. Ludzie widzieli we mgle różne rzeczy. Duchy i...

— O, nie, on nie przypominał ducha — Luiza zaśmiała się. Powiesiła wiatrówkę na jednym ze staromodnych haczyków. Spojrzała na mały stolik, na którym stała mosiężna miska z drzewkiem kauczukowym.

— Nic się tu nie zmieniło od czasu, kiedy przejeżdżałam tu, będąc dzieckiem.

Podążyła za gospodynią do kuchni, gdzie na opalonym węglem piecu syczał kociołek. Pani Smith pociągnęła nosem.

— Moim zdaniem należy wyrzucić te wszystkie stare graty.

— Wypije pani filiżankę herbaty? — Zmierzyła Luizę wzrokiem od stóp do głów. — Myślałam, że jest pani starsza, skoro ma pani córkę.

— Jestem starsza. — Luiza próbowała przyglądzić swoje bujne złote

włosy. — Pewnego dnia obetnę to wszystko. Każę też wyprostować swój zadarty nos! Może wtedy będę wyglądać na bywałą damę i na nauczycielkę — powiedziała wesoło.

— Rzeczywiście, nie przypomina pani nauczycielki. — Pani Smith strzepnęła popiół ze swojej luźnej, wełnianej kamizelki.

Luiza spojrzała na tę niechlujną kobietę, ale powstrzymała się od wypowiedzenia uwagi, która cisnęła się jej na usta.

Tej nocy wiał silny wiatr i okiennice głośno stuknęły. Właśnie ten dźwięk przeniósł Luizę z powrotem do jej dzieciństwa, do czasu, kiedy rodzice przywieźli ją na Księżycowe Wzgórze w odwiedziny do dziadków i do ciotki Prudence, którą Luiza zapamiętała jako pełną życia, młodą kobietę. Wtedy jednak nie było tak zimno i ponuro.

Podciągnęła koce i dokładnie się nimi otuliła. „Kiedy już nakłonię Emmę do zamieszkania na Księżycowym Wzgórzu, wówczas postaram się o grube puchowe kołdry” — pomyślała.

Była taka podniecona, gdy dowiedziała się, że dziadek Seth zostawił jej dom. Do tej pory wynajmowała mieszkanie na przedmieściach Londynu. „W porównaniu z tymi pokojami, Księżycowe Wzgórze będzie prawdziwym luksusem — myślała — pomimo tego że jest stare i ponure.”

Planowała wprowadzenie wielu zmian: nowe meble, śliczne firanki, ozdoby. Pracując jako nauczycielka, musiała zdobyć potrzebną gotówkę.

Ledwo mogła uwierzyć w swoje szczęście, kiedy przeczytała ogłoszenie o wolnej posadzie nauczyciela w szkole podstawowej w Hengeford. Wyglądało na to, że los nareszcie się do niej uśmiechnął!

Teraz leżąc w łóżku, jeszcze raz przypominała sobie to wszystko. Nagle usłyszała chrobot. Modliła się, żeby w podłodze nie było żadnych dziur.

Nie lubiła pajaków i myszy.

Zaraz po przyjeździe doznała dziwnego uczucia, widząc dubeltówkę dziadka wciąż opartą o kredens. Wyglądało to tak, jakby on wciąż żył.

Kiedy zaś weszła do jego salonu, szklanki w kredensie nieznacznie zdrząły.

„To tylko wibracje od podłogi, nie bądź głupia. Nawet jeśli duch dziadka rzeczywiście krąży wokół jego wielkiego fotela, to ty nie musisz się bać.”

Dziadek przerażał ją, kiedy była mała. Uważała wtedy, że ma takie surowe oblicze; stawiał zawsze wysokie wymagania zarówno swojej rodzinie, jak i sobie. Kiedy się zestarzał, odniosła wrażenie, że stał się bardziej ustępliwy. Czasem nawet było jej go żal, wydawał się taki samotny. Wówczas Luiza była z nim w dobrych stosunkach.

Nagle usłyszała cienki, płaczliwy krzyk. Było za wcześnie na mewy. Może to był kot albo wiatr w kominie?

Znowu też usłyszała chrobot. Była wściekła, że nie może zasnąć, zeszła więc na dół, aby napić się czegoś ciepłego.

W kuchni nie znalazła jednak nic do picia. Zajrzała do pomywalni. Stała tam tylko staromodna pralka, cuchnący stęchlizną worek ziemniaków i kilka słoików. Zauważywszy, że drzwi prowadzące do piwnicy nie są należycie zamknięte, podeszła do nich.

Nigdy nie umiała wyjaśnić, co się potem stało. W chwili gdy położyła dłoń na klamce, ogarnęło ją uczucie paniki. Mimo że było jej zimno, zaczęła się pocić. Lodowate palce zacisnęły się na jej brzuchu. Z trudem mogła oddychać. Poczowała ból. Upadła.

— O, dobry Boże, proszę pani! Co się stało? — Doreen Smith ukazała się w drzwiach.

— Czuję... czuję... — Luiza zaczęła szczękać zębami.

— To ta podróż, ot co. Sądzę, że się pani przemęczyła i poszła spać bez przyzwoitego posiłku. A mówiłam, że zrobię coś do jedzenia.

Gospodyni zaprowadziła Luizę do kuchni i przygotowała jej coś do zjedzenia.

Znalazłszy się z powrotem w łóżku, pomyślała: „Czy gospodyni ma rację? Może rzeczywiście jestem przemęczona. Jutro pewnie wszystko będzie wyglądało inaczej”.

Kiedy się obudziła, za oknem padał jednostajny deszcz. Przypomniała sobie, że musi zaraz jechać do szkoły. Jak na złość, samochód nie chciał zapalić. Aby nie spóźnić się na rozmowę kwalifikacyjną, musiała zadzwonić po taksówkę.

Wraz z innymi kandydatami niespokojnie czekała przed salą. Starła się skoncentrować na zagadnieniach dotyczących metod nauczania. Jednak myśl o tym, co zdarzyło się w nocy, nie pozwalała jej się skupić. Nigdy nie przeżyła czegoś podobnego.

— Proszę, pani Clark — odezwał się głos. Wstała szybko, prostując kołnierzyk pomarańczowej bluzki pod kremowym wełnianym kostiumem.

„Proszę, Boże, spraw, żebym dobrze wypadła po tej okropnej nocy” — pomyślała.

Wśród członków komisji egzaminacyjnej dostrzegła surowe oblicze spotkanego wczoraj w lesie mężczyzny. Tym razem nie mógł być zjawą. Miał na sobie szary, prążkowany garnitur, niebieską koszulę i srebrno-błękitny krawat w paski. Wyglądał zupełnie inaczej niż wczoraj. Powoli podniósł rękę, oparł łokieć na stole i zmarszczywszy brwi, przyglądał jej się uważnie.

Dyrektor szkoły, miły, uprzejmy człowiek dokonał przedstawienia.

— Oto pan Morgan Le Fleet, jeden z członków zarządu szkoły — powiedział, wskazując mężczyznę.

— Słyszałem, że przybyła pani z Londynu. Miała pani dobrą podróż? — zapytał.

Za wszelką cenę starała się zachować spokój. Potrzebowała tej pracy.

W trakcie egzaminu mimo zdenerwowania zupełnie nieźle dawała sobie radę. Właśnie zaczynała odzyskiwać pewność siebie, kiedy Morgan Le Fleet wziął ją w krzyżowy ogień pytań.

— Widzę, że miała pani przerwę w pracy nauczycielskiej. Czy może nam pani powiedzieć dlaczego?

— Pomagałam mężowi prowadzić interesy — meble ręcznej roboty.

Wyjechałam za granicę, aby zebrać tam zamówienia. Firma upadła. Mój mąż... zachorował. Opiekowałam się nim, dopóki nie umarł. Wtedy powróciłam do pracy w szkole.

Zacisnęła ładnie ukształtowane usta w wąską linię. Powiedziała mu wszystko, co mogłoby go interesować. Nie widziała potrzeby opowiedzenia o tym, że została z masą długów, musiała sprzedać dom i przeprowadzić się do wynajętego mieszkania.

— Dlaczego pani chce pracować z najmłodszymi uczniami? — zapytał.

— Lubię dzieci. Są pełne życia i ciekawości poznawczej. Szybko przyswajają sobie wiedzę.

— A kto prowadzi lekcje, kiedy pani córka jest chora?

— Mam gospodynię, panie Le Fleet!

Nie chciała, aby jej głos zabrzmiał hardo. Trudno było jednak tego uniknąć, kiedy taki wyniosły mężczyzna zasypywał ją pytaniami.

Le Fleet chciał zadać jej następne pytanie, lecz dyrektor oświadczył, że Luiza posiada dobre kwalifikacje i będzie na pewno dobrze wykonywać swoje obowiązki.

Gdy było już po wszystkim, Luiza odetchnęła z ulgą i wyszła ze szkoły.

Następną godzinę spędziła w eleganckich sklepikach Hengeford, szukając prezentu dla Emmy.

Szła z powrotem w kierunku Księżycowego Wzgórza, gdy obok niej zatrzymało się BMW i z okna wychylił się mężczyzna.

— Proszę wsiadać, pani Clark. Podwiozę panią.

— Dziękuję, panie Le Fleet, lubię spacerować.

— Ja również, kiedy jestem odpowiednio ubrany — odparł oschle, lustrując ją z góry na dół. Jej kremowe pantofle były całe w błocie. Absolutnie nie nadawały się na taką pogodę. Le Fleet przechyliła się w stronę siedzenia dla pasażera i otworzył drzwi.

— Przejeżdżam obok Księżycowego Wzgórza — oznajmił.

„Dlaczego miałabym odmówić” — pomyślała i szybko wsiadła do

samochodu. Nieco zmieszana, próbowała nawiązać rozmowę:

— Pusto tu dzisiaj.

— Proszę poczekać, kiedy przyjadą tu letnicy. Trudno będzie znaleźć miejsce na zaparkowanie samochodu. Gdzie jest mini?

— Podejrzewam, że trzeba wymienić rozrusznik. Dziś rano ani drgnął, o mało nie spóźniłam się na egzamin. — Natychmiast pożałowała, że o tym wspomniała. Ale on na szczęście nie podtrzymał tematu.

— Dzisiejszego ranka wyglądała pani inaczej.

Wczoraj w lesie wydała mu się bardzo młoda. Teraz, z zaczesanymi do tyłu włosami, wyglądała poważniej. Luiza uczesała się tak specjalnie na egzamin. Wiedziała, że nie wygląda na swoje dwadzieścia siedem lat i czasem bardzo ją to złościło.

— Przykro mi, że wczoraj naruszyłam pańską własność.

— Nic się nie stało — odrzekł poważnie. Zastanowiła się, czy ten człowiek kiedykolwiek się uśmiecha.

— Więc, wnuczka otrzymuje w spadku Księżycowe Wzgórze i Mielizny — odezwał się, wyrывая ją z rozmarzenia. — Niektórzy sądzili, że stary Seth zostawi wszystko kościołowi albo konserwatystom. Zastanawiałem się, czy na starość złagodnieje i zapisze to komuś. Jego nieoczekiwane uwagi zaskoczyły i zaniepokoiły Luizę. Obudziły w niej tłumione obawy. Wiele razy zadawała sobie pytanie, czy ciotka Prudence żyje jeszcze?

Księżycowe Wzgórze powinno należeć do niej.

— Co... co wiadomo w Hengeford na temat Prudence? — zapytała cicho.

— To, że uciekła ze swoim kochankiem. Starzec nigdy jej tego nie wybaczył. Nie wróciła na Księżycowe Wzgórze, nawet gdy umarła jej matka. Pani dziadek był cholernie zasadniczy w swym postępowaniu. Człowiek tak związany z kościołem powinien okazywać więcej miłosierdzia.

Luiza lekko zmarszczyła brwi.

— On... był bardzo dobry.

— Dobrze go pani знаła? — spytał.

— Nie najgorzej ostatnimi laty...

— Jednak wcześniej niezbyt często tu pani przyjeżdżała?

„Cóż to jest? Kolejny egzamin?” — pomyślała z irytacją. Na głos zaś rzekła stanowczo:

— Bardzo mi żal dziadka. Stracił córkę, żonę i mojego ojca, a swojego syna, w ciągu jednego roku. Nic niezwykłego, że zachowywał się dziwnie.

— Był ponoć bardzo kłótlivy.

— Każdy ma jakieś wady — odparła zwięźle. Ten mężczyzna w dziwny sposób przypominał jej Seta. Miał tę samą stanowczość. Bardzo dobrze wyrażały ją jego ciemne, głęboko osadzone oczy.

Luiza nie lubiła, kiedy przypomiano jej lata, kiedy nie widywała dziadka.

Po śmierci rodziców wychowywała ją babka ze strony matki, która nie darzyła Seta miłością. Nigdy nie wybaczyła mu, iż dawał swemu synowi do zrozumienia, że mógł znaleźć sobie lepszą żonę.

Babka Jean rzadko zabierała Luizę w odwiedziny na Księżycowe Wzgórze.

Morgan wjechał na podjazd i popatrzył na budynek.

— Chyba nie zamierza pani tu zamieszkać?

— Dziękuję bardzo za podwiezienie — powiedziała uprzejmie. Wysiadła z samochodu urywając rozmowę.

Po raz pierwszy dostrzegła na jego ustach iskierkę uśmiechu.

Kilka tygodni później Luiza powróciła na Księżycowe Wzgórze wraz z Emmą. Wcześniej napomknęła pani Smith, że zamierza poszukać bungalowu niedaleko szkoły. Otrzymała propozycję pracy w szkole w Hengeford. Pomyślała, że nawet jeśli Morgan Le Fleet miał jakieś zastrzeżenia, to nie wzięto ich pod uwagę. Następnego dnia zaczęła przygotowywać plan pracy na letni semestr.

— Czy mogę pograć w piłkę w domu, mamusiu? — zapytała Emma oszołomiona ogromem przestrzeni.

— Pewnie, że możesz śmiało! — zaśmiała się Luiza. Była szczęśliwa, że jej córka może wreszcie bawić się, nie obawiając się, że komuś przeszkadza. Podniosła ją i zakręciła dookoła. „O, rany, nigdy więcej żadnych sąsiadów walących w ściany, kiedy Emma bawi się zbyt hałaśliwie!”

Córeczka miała jasne warkoczyki i delikatne rysy twarzy odziedziczone po Luizie. Wolą bawić się żołnierzykami i samochodami niż lalkami i pluszowymi misiami.

Luiza przyglądała się, jak dziewczynka wbiega po schodach. Emma tak bardzo przypominała swego ojca.

Myśl o Willu sprawiała, że łzy napływały jej do oczu. Dawno jej się to nie przytrafiło. Na egzaminie wspomniała o nim bez oznak rozpacz. Teraz jednak, rozglądając się wokół siebie, pomyślała, że podobnie jak Emma rozkoszowałby się tak ogromną przestrzenią. Miał takie wielkie nadzieje, gdy po raz pierwszy zaczynał interesy...Prędko wytarła oczy. Chwyciła walizę, gdy usłyszała miły głos:

— Czy mogę pani pomóc? Mężczyzna w eleganckim, krótkim płaszczu wyciągnął rękę. — Jestem John Quince. Przepraszam, jeśli przychodzę o niewłaściwej porze.

Luiza postawiła walizkę i podała mu rękę.

— Mieszkam obok i przejeżdżając, pomyślałem, że wpadnę zobaczyć, czy niczego pani nie potrzebuje. Słyszałem, że wprowadza się tu pani.

— Słyszał pan? — Uniosła brwi.

— W tak małym miasteczku jak Hengeford szybko rozchodzą się wiadomości, pani Clark.

Uśmiechnęła się szeroko, kiwając głową.

— Oczywiście!

— No to ile bagaży ma pani jeszcze do przeniesienia?

Luiza zmierzyła niespodziewanego gościa przenikliwym wzrokiem. Will określiłby go jako „przyjemniaczka”.

— Czy to tylko dobrosąsiedzka wizyta? — zapytała podejrzliwie.

Mężczyznę najwyraźniej zaskoczyło to pytanie.

— Jest pani bardzo bystra. Prawdę powiedziawszy jest coś, o czym chciałbym z panią porozmawiać. Słyszałem, że myślała pani o sprzedaniu Księżycowego Wzgórza. Chciałbym złożyć pani ofertę, zanim zrobi to ktoś inny.

Roześmiała się.

— Nie zasypuje pan gruszek w popiele, panie Quince.

— Jestem pośrednikiem. Mogę zaoszczędzić pani czasu i pieniędzy. Złożę pani interesującą ofertę. Ten dom posiada wielki potencjał. Nie będę ukrywał, że świetnie nadaje się na ośrodek wczasowy. Niedaleko stąd nad morze, dookoła panuje spokój. Nie jestto wymarzone miejsce dla kogoś, kto musi, tak jak pani, dojeżdżać codziennie do pracy. Dla emerytów jednak...

Zauważyła, że jest prawdziwym kupcem. Interes to interes.

Emma przemknęła obok nich i po chwili powróciła, niosąc pudło z zabawkami.

— Chcesz, żebym pomógł ci to zanieść? — zapytał uprzejmie.

Wszyscy troje obładowani weszli po schodach na górę.

Kiedy Emma oddaliła się w podskokach, Luiza spojrzała przez okno sypialni na miejsce, w którym pochyły grunt opadał ku morzu.

— Nie jest to plaża dla dzieci, prawda? — zauważył Quince, kiwając głową.

— Nie wiem... wygląda dziś bardzo spokojnie.

— Niech pani zaczeka na sztorm. Tego nie da się opisać, to trzeba zobaczyć.

— Emma jest rozsądnym dzieckiem. Nie zeszlaby tam beze mnie.

— Mam nadzieję. Wydarzyło się tu kilka przykrych wypadków. Widziano zwierzęta schwytane w pułapkę na tych bagnach.

Luiza westchnęła.

— Chyba powinnam się przeprowadzić, zanim Emma zbytnio się tu zadamowi. Choć wygląda na to, że podoba się jej.

— A pani, pani Clark?

Zawahała się, po czym odrzekła cicho:

— Mnie? Chyba nie.

Właśnie wtedy złożył swoją ofertę, proponował jej znacznie więcej, niż się spodziewała. Mogła z Emmą zamieszkać w mniejszej posiadłości. Mimo że Quince oferował za dom dużą sumę pieniędzy, była ostrożna. Zamiast skwapliwie skorzystać z jego oferty, odpowiedziała mu, że chciałaby ją przemyśleć.

— W takim razie będę czekał na wiadomość od pani. I proszę nie zapominać: czegokolwiek pani potrzebuje...

— To bardzo uprzejmie z pana strony.

Po jego odejściu ogarnęły ją wątpliwości. Jaki sens miało staranne układanie ubrań w szufladach i szafach, skoro nie miała zamiaru zatrzymać się tu?

Pozostawiła dziewczynkę z panią Smith na Księżycowym Wzgórzu, podczas gdy sama odwiedziła swego najbliższego sąsiada, farmera, który był przyjacielem dziadka. Być może jego jedynym przyjacielem.

— A to dopiero! Właśnie zamierzałem cię odwiedzić, Luizo.

— Cześć, Brian. Jak się masz?

Krępy mężczyzna w średnim wieku uściśnął jej dłoń.

— Wprowadziłaś się już? Dzisiaj jest trochę cieplej niż w czasie twojego ostatniego przyjazdu, prawda? Śliczne dziś mamy słońeczko. Wejdz do domu. Zaparzę herbatę.

Jego przewiewna, nowoczesna kuchnia stanowiła całkowite przeciwieństwo tej na Księżycowym Wzgórzu.

— Kiedy już sprzedam dom, urządzę sobie taką przytulną kuchnię jak twoja... — zaczęła.

— Naprawdę sprzedajesz? — Oczy zaszyły mu mgłą. Opowiedziała mu o ofercie pana Quince'a. Spojrzał gniewnie.

— Szybko znalazł czas, żeby cię odwiedzić!

— Sądziłam, że jest uczciwy. Ziemia jest dobra, ale musisz przyznać, że dom...

— Nie należy mu ufać. Dziwię się, że Seth ci o nim nie mówił.

— Wiesz, jak się pod koniec czuł. W ogóle niewiele mówił. Byłeś jego przyjacielem, a on ledwie się z tobą komunikował.

— Nie był głupi. Gdyby ten Quince znowu się do niego zbliżył, wstałby ze swego łoża boleści i zwymyślałby go.

— Nie wiedziałam, że odwiedził także dziadka!

— On odwiedza większość mieszkańców tej okolicy. Skupuje nieruchomości w tych stronach. Mojej — nie kupi!

— Dlaczego tak bardzo ich potrzebuje?

— Snuje opowieści o domach wczasowych dla emerytów czy czymkolwiek, co przyjdzie mu do głowy. Ale jak powszechnie wiadomo, przez lata mówiło się o tym, że Southwater District Council jest zainteresowana terenem na przystań jachtową.

— Ale bagna...

— Wkrótce zostałyby osuszone i zasypane. Byłaby nowa tama, sklepy, hotele... To zwabiłoby dalsze tysiące letników do naszego miasteczka. Rada hrabstwa gorąco popiera turystykę, czyż nie?

— Ale dlaczego pan Quince...?

— On spekuluje: kupuje ziemię, by potem, jeżeli Southwater D.C. rzeczywiście postanowi rozpocząć budowę przystani, odsprzedają im. Sporo zarobi na tej transakcji.

Podał jej ogromny, brązowy kubek na spodku. Wzruszyła ramionami.

— To nie jest nielegalne, prawda? Jest to skalkulowane ryzyko i jeśli on chce je podjąć...

— Przypuszczam... przypuszczam, że ma skądś poufne informacje. Naprawdę bardzo mu zależy na tych pozostałych nieruchomościach.

— Brian powoli zamieszał swoją herbatę.

— Przecież nikt nie musi mu sprzedawać, jeśli nie chce.

— Nie? Pomyśl, jak zachowa się starsza pani, kiedy pojawi się u niej

ten przystojny, młody koleś ze swoją przekonywującą gadką. Spójrz, jak szybko ty dałaś się namówić?!

Luiza popijała herbatę małymi łykami. Pomyślała, że Quince nie zrobił na niej wrażenia człowieka niegodziwego, za jakiego uważał go Brian. Podobnie jak jej dziadek,

Brian miał ustalone zwyczaje i pragnął, aby Hengeford pozostało takim, jakim zawsze było, bez zamian.

Mówił z przejęciem:

— Przez całe życie byłem farmerem, tu był mój dom i teraz nie mam zamiaru go sprzedawać. Seth i ja byliśmy tego samego zdania. Komu zależy na wielkich inwestycjach rujnujących tę miejscowość? One oznaczają przecież koniec rybołówstwa w Hengeford. Port zapełnią żaglówki. Przepiękne morskie ptactwo zostanie wypłoszone. Pociągnął haust herbaty.

— Kiedy umrę, zostawię swoją farmę tylko komuś, kto myśli dokładnie tak samo jak ja.

Utkwił w niej wzrok i rzekł znacząco:

— Ja i Seth myśleliśmy jednakowo o większości spraw.

Wracała piechotą do Księżycowego Wzgórza, gdy minął ją lśniący samochód. Zatrzymał się tuż przed nią.

Z wozu wysiadł Morgan i leniwie oparł się o maskę samochodu. Był ubrany w wąskie, ciemnoniebieskie spodnie i brązową, rozpiętą pod szyją koszulę.

Luiza zbliżyła się do niego i zanim zdążyła ugryźć się w język, powiedziała:

— To jest droga prywatna, wie pan?

Morgan próbował ukrywać swój uśmiech. Wiatr rozwichrzył mu włosy. Przyglądał się jej z zainteresowaniem.

— Słyszałem, że przyjechałaś — powiedział. — Jesteś zadowolona z posady?

Zdziwiła się, że o tym wspomniał. Pośpiesznie skinęła głową.

— Bardzo, panie Le Fleet. Ruszył aleją obok niej.

— Mam na imię Morgan... Przyjechałem sprawdzić, czy niczego nie potrzebujesz.

— Jesteś moim drugim gościem, był u mnie John Quince. Chce kupić Księżycowe Wzgórze.

Nie była pewna, dlaczego mu o tym mówi. Po pogawędce z Brianem miała ochotę poznać opinię innych ludzi.

— Dlaczego nie miałabyś przyjąć tej oferty?

— Brian uważa, że Quince chce kupić ziemię tylko po to, by móc ją ponownie odsprzedać z dużym zyskiem, jeśli na tym terenie zostanie wybudowana przystań jachtowa.

— Taka inwestycja tchnęłaby nowe życie w tę miejscowość, stworzyłaby więcej miejsc pracy. Gorąco popieram.

— Czy więcej ludzi myśli tak jak ty?

— Na pewno ci bez pracy. Wiem, że Brian jest przeciwny sprzedaży. Jeżeli nie zmieni zdania, może w końcu ponieść straty.

Była niezbyt zadowolona z kierunku, w którym zmierzała rozmowa.

— Czy pan mieszka na tym wybrzeżu, Morgan?

— Niebezpieśrednio.

— Więc ten problem ciebie nie dotyczy?

— Nie nazywałbym tego problemem, Luizo.

Gdy wypowiedział jej imię, doznała uczucia wewnętrznego ciepła. Dotarli do łagodnego wzniesienia, które prowadziło na Księżycowe Wzgórze.

— Jeśli chcesz poznać mieszkańców Hengeford i ich sposób myślenia, to koniecznie musisz przyjść na nasz majowy jarmark. Twoja córka będzie się tam także dobrze bawić.

Luiza pomyślała, czy on też tam będzie. A jeśli tak, to z kim przyjdzie. Przy swojej pociągającej powierzchowności, musiał cieszyć się powodzeniem. Pomyślała też o tym, jaką radość sprawi Emmie, zabierając ją na jarmark.

— Uwielbiam takie uroczystości! Wciąż pamiętam, jak na pierwszego maja zabrano mnie do Minehead. Był Hobby-Horse i

dobosz, i chyba akordeonista. Bałam się Hobby-Horse'a! To było takie ekscytujące — opowiadała z błyskiem w oczach.

— Ach, te rytuały płodności zwabiające młode panny — wycedził.
— Rodzaj magicznych zabiegów służących wywołaniu podniecenia w ciepły wiosenny wieczór. Przykro mi, ale Hobby-Horse nie przybywa do Hengeford.

Pomachał jej rękę i odszedł wolnym krokiem.

Luiza patrzyła na niego z płonącymi policzkami. „Chyba nie sądził? Nie, dokuczał jej, to wszystko” — pomyślała. Odwróciła się i skręciła na podjazd.

* Hobby-Horse — w tańcu morris i na scenie (farsa, pantomima) postać konia wykonana z wikliny lub innego lekkiego materiatu, wyposażona w długie czapaki i przytwierdzona do pasa jednego z tancerzy, który w groteskowy sposób naśladuje ruchy narowistego, ognistego rumaka; również nazwa tego tancerza.

Zamiast pójść prosto do domu, poszła do lasu. Kiedy tylko weszła do skapanego w słońcu zagajnika, pomiędzy dęby, jarzębiny, jawory i sosny, uspokoiła się. Tam, gdzie wąska ścieżka, wijąc się, opadała ku morzu, rozciągała się sprężysta darń. Daleko przed nią morze dosłownie przewalało się ponad mieliznami, tutaj jednak fale przyływały i rozpryskiwały się u jej stóp. Wciągnęła świeże, słone powietrze. Unosiła się w nim woń skorupiaków. Nad głową skrzeczały rybitwy, podczas gdy nurzyki i małe, ciemne ptaszki z grzebieniami nurkowały w spienionych falach.

Podniosła rękę i zasłoniła oczy przed blaskiem słońca. Wydało jej się, że dostrzega brzeg Walii po drugiej stronie morza. „Jak, u licha, mogłam uznać to miejsce za przygnębiające? Tu jest przepięknie!”

W tym momencie zapomniała o ponurych zimowych dniach, kiedy wiatr wył i płakał jak niemowlę, a Mielizny wyglądały mrocznie i niegościnnie. Blask słońca zmieniał to miejsce nie do poznania.

Przygnębieńie zamieniał w zachwyty.

Rozpostarła szeroko ramiona.

— To wszystko należy do mnie! — zawołała. Schyliła się, podniosła garść ziemi i pozwoliła jej

przesypać się powoli przez palce. Tu mogła odkryć wszystkie sekrety życia, obserwując ziemię, morze, słońce.

Spojrzała w niebo na puszyste, szybujące obłoki i zrozumiała, że dziadek nie chciałby, aby sprzedała dom. Nie musiał zapisywać tego w swej ostatniej woli. Ufał jej.

Wygladziła ziemię dłonią.

— W porządku, ale mam przecucie, że będę potrzebowała pomocy — powiedziała cicho.

Po powrocie do domu niezwłocznie zatelefonowała do pana Quince'a i oznajmiła mu, że nie może przyjąć jego oferty. On jednak obiecał odwiedzić ją jeszcze raz, mając nadzieję, że w końcu da mu się ją przekonać.

Tego wieczora Luiza, przeczytawszy Emmie bajkę na dobranoc, zapytała:

— Czy pomożesz mi jutro kupić trochę ładnego materiału na zasłony?

— Z pociągami?

— N-o-o-o... zobaczymy.

Emma ziewnęła i ułożyła się wygodnie w łóżku.

— Przyniesiesz mi moją piłkę, mamusiu?

— Gdzie ona jest, kochanie?

— Zostawiłam ją tej pani, żeby się nią pobawiła.

— Pani Smith?

Emma ponownie ziewnęła i odrzekła sennie:

— Nie, tej drugiej pani.

Na pytanie Luizy, czy ktoś dzisiaj odwiedził Księżycowe Wzgórze, pani Smith odpowiedziała:

— Tylko pan Quince.

Luiza znalazła piłkę Emmy. Leżała pod drzwiami piwnicy.

RS

Rozdział II

— Jest pani całkowicie pewna, że nie było tu innych gości poza panem Quince'em? — Luiza ponownie zapytała Doreen Smith.

— Tak, a dlaczego pani pyta?

— Emma mówiła o jakiejś pani... — Urwała. Czy mądrze było podsycać wyobraźnię Doreen? Kiedy Luiza opowiedziała jej o spotkaniu z Morganem na drodze, gospodyni uznała go za upiora.

Za późno. Doreen spojrzała przestraszona.

— Ooch, no wie pani. Czy Emma powiedziała, jak wyglądała ta kobieta?

— Mogę panią zapewnić, że to nie był duch — odparła Luiza. — Mamy tu raczej do czynienia z cechami jedynaczki. Emma czuje się samotna. Gdy była mała, wymyślała sobie towarzyszy zabaw. Tygodniami musiałam zostawiać miejsce przy stole dla kogoś o imieniu Aubus.

— Dzieci często widzą to, czego nie dostrzegamy my, dorośli.

— Poczuje się lepiej, gdy zacznie się szkoła — odrzekła zdecydowanie Luiza.

Kiedy istotnie rozpoczął się nowy semestr, mocno trzymała dłoń swojej córeczki, gdy obie kroczyły przez szkolne boisko. Uśmiechnęła się do siebie myśląc jak bardzo podtrzymuje je to na duchu.

— Czy to nie zabawne, że obie jesteśmy w tej samej szkole? — zapytała.

— Chcę wrócić do mojej prawdziwej szkoły. Luiza rozumiała ją, sama czuła się niepewnie. Idąc szkolnym korytarzem, przyglądała się wszystkiemu uważnie.

— Miło panią widzieć! — przywitał ją uprzejmie dyrektor. — A gdzie Emma?

— Jakaś miła dziewczynka bawi się z nią na boisku.

Luiza polubiła dyrektora. Wkrótce odkryła, że personel i wszyscy zaprzyjaźnieni ze szkołą nazywają go Rob. Przypominał lubianego

przez wszystkich wujka, choć nie był stary; miał około trzydziestu lat.

Klasa Emmy znajdowała się w dobudowanej części szkoły. Było to dobrze oświetlone pomieszczenie, wyposażone w jasne stoły i krzesła w czerwonym kolorze.

Gdy zadzwonił dzwonek, dzieci z klasy Luizy nieśmiało weszły do środka, wkrótce jednak chętnie opowiedziały jej wszystko o sobie. Kiedy Rob zwołał apel, Luiza przyłapała się na tym, że śpiewa „Wszystkie rzeczy jasne i piękne” równie ochoczo jak dzieci. Nagle poczuła się bardzo szczęśliwa.

Dwa razy ujrzała w przelocie Emmę. Za pierwszym razem dziewczynka pomogła wnieść do swojej klasy odtwarzacz wideo. Idąca za nią Betty — nowa nauczycielka Emmy — mrugnęła do Luizy. Za drugim razem Emma biegła po boisku z Jenny, kopiąc piłkę. Luiza była pewna, że jej córka szybko się tu zadomowi.

— No i jak? — zapytała Betty w czasie przerwy obiadowej. Obie wycofały się do małego pokoju nauczycielskiego, podczas gdy inne nauczycielki i panna Lyons, wicedyrektorka, doglądały dzieci.

— Naprawdę mi się tu podoba — odrzekła Luiza.

— Z pewnością dasz sobie radę. Dowiedziałam się pocztą pantoflową, że byłaś główną faworytką na tę posadę. Wiem, że nie powinnam zdradzać tajemnicy, ale jeżeli my, dziewczyny, nie będziemy się chwalić nawzajem, to któż to za nas zrobi?

— Na egzaminie odniosłam inne wrażenie. Na pewno nie poparł mojej kandydatury pan Le Fleet.

— Najwyraźniej uznał, że jesteś osobą o niezwykłej osobowości — powiedziała niskim głosem. — Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby zrobić na nim takie właśnie wrażenie!

— Jak to się stało, że jest członkiem zarządu szkoły?

— Tradycja, moja droga. Le Fleetowie zawsze byli w zarządzie.

— Czym on się zajmuje?

— Budownictwem. Przejął spółkę po śmierci ojca. Luiza powoli opuściła ołówek.

— Więc jeżeli w miasteczku prowadzono by jakieś nowe roboty budowlane, wykonywałyby je jego firma?

— Przypuszczam... oczywiście istnieją w tej okolicy inne przedsiębiorstwa budowlane, lecz nie tej wielkości co jego. Na wykonanie takiej pracy musi zostać ogłoszony przetarg, ale jeżeli jesteś na miejscu i cieszysz się dobrą reputacją, a twoja rodzina dała miastu Bóg wie ile podarunków, łącznie z centrum socjalnym... no cóż!

Betty odsłoniła zęby w złośliwym uśmiechu.

— On mógłby w ciągu jednego dnia postawić nową dobudówkę, nawet gdyby miał tylko taczkę i łopatę.

Zaśmiały się. Betty zerwała się z siedzenia.

— No, ale dosyć leniuchowania. Czas na trening. Chcę ci tylko jeszcze powiedzieć, że Emma świetnie sobie radzi. Jest grzeczna i bystra. — Przybrała poważniejszy wyraz twarzy. — Hmrrn, kto to jest pani Smith?

— Gospodyni. Po śmierci dziadka ktoś musiał się opiekować domem.

— Może wyciągam zbyt pochopne wnioski, ale wydaje mi się, że ona napełniła głowę tego dziecka mnóstwem bzdur.

— Co panią, do licha, opętało, żeby powiedzieć

Emmie, że w domu straszy? — zapytała Luiza wieczorem.

— Bo w tym domu słychać jakieś dziwne hałasy.

— Ale nie mówi się tego małej dziewczynce! Niech pani nigdy więcej nie powtarza jej tego. W przeciwnym razie będę zmuszona panią zwolnić.

— Nie namówi pani nikogo innego, żeby tu mieszkał, oto co pani powiem — nadała się Doreen.

— Nic mi się nie stanie, jeśli będę musiała zajmować się domem sama. — Luiza próbowała kontrolować swój gniew.

— Ja tylko kazałam jej włożyć głowę pod koldrę, gdyby usłyszała jakieś dziwne odgłosy, kiedy będzie w łóżku.

Luiza zagryzła wargę.

— Nie chciałam jej przestraszyć... nie chciałam... — przekonywała Doreen.

— Proszę nie opowiadać jej więcej takich rzeczy, dobrze?

Kiedy Doreen odeszła, powłócząc nogami, Luiza westchnęła.

„Muszę jednak chronić Emmę.”

— A niech to! — mruknęła. Czuła się bardzo zmęczona. Tego wieczora musiała jeszcze przygotować konspekty lekcji na następny dzień.

Po kilku dniach pracy z zadowoleniem stwierdziła, że daje sobie świetnie radę i nie czuje się już tak bardzo zmęczona. Jej zadowolenie wzrastało, gdy widziała, jak policzki Emmy pokrywają się świeżym, różowym rumieńcem. Zabierała ją na spacer po kamienistej plaży albo po łąkach, które opadały ku rzekom.

Somerset było krajem kontrastów.

— Wybierasz się na majowy jarmark, Brian? — zawołała pewnego dnia, mijając jego farmę.

— Ja? Zrobić sobie dzień wolny od pracy? — Pokręcił przecząco głową i krzyknął do młodego parobka: — Zamknij tę bramę, Stanley!

— Niech najpierw przez nią przejdę! — odparł z tupetem chłopak.

— Zostawiłby ją otwartą, gdybym mu nie przypomniał — mruknął Brian. — W wodzie stojącej jest motylca. Nie chcę, żeby włożyło się tam moje bydło. Mała jest nadzieja, że będę miał wolny czas. Zresztą w dzień jarmarku zawsze pada.

Mylił się. Dzień był ciepły i słoneczny.

— Możesz przestać nosić kamizelkę, słonko — zwróciła się Luiza do Emmy.

Emma stanęła w krótkich spodenkach w stokrotki, okręcając gumkę wokół małych paluszków i rzekła z namaszczeniem:

— Do Świętego Ducha nie zdejmuj kożucha. Luiza zamrugła oczyma, a potem roześmiała się.

— A gdzie myśmy to usłyszały, ciekawa jestem?

— Wychodzę, pani Clark! — zawołała Doreen z dołu. — Jest tu jakiś pan do pani.

Naciągnęła na Emmę koszulkę bawełnianą, po czym zbiegła po schodach. Stała jak wryta, rozpoznając mężczyznę patrzącego na ogród przez otwarte drzwi.

Odwróciwszy się, Morgan obdarzył ją uśmiechem.

— Cześć. Właśnie... właśnie wychodziłyśmy.

— Przyjechałem, żeby zabrać was na jarmark. Zapomniałaś? — zapytał.

Próbowała sobie przypomnieć. Była przekonana, że nic nie wspomniał o odwiezieniu jej. Czyżby zapomniała? Nie była pewna...

— Nie idziesz ze swoją rodziną?

— Mieszkam sam.

Emma zbiegła w podskokach po schodach i stanęła przed Morganem.

— Idziemy na jarmark! Morgan przykucnął obok niej.

— Jeśli się nie pośpieszymy, spóźnimy się na rozpoczęcie.

— Idziesz z nami?

— Nie, kochanie, pan Le Fleet... — zaczęła Luiza, lecz Emma jej nie słuchała, z zainteresowaniem wpatrywała się w podjazd. Odwróciła się do Morgana z nieśmiałością małej dziewczynki i powiedziała:

— Nigdy takim nie jechałam. Ale chciałabym bardzo...

Były zachwycone przejażdżką dwukółką po uroczych wiejskich drózkach. Morgan pozyskał sobie całkowicie sympatię Emmy, pokazując jej, jak należy trzymać lejce.

— Masz dużo koni?

— Ktoregoś dnia musisz przyjechać i zobaczyć sama. — Morgan spojrzął na Luizę. — Jeździłaś kiedyś konno?

Luizna potrząsnęła przecząco głową.

— Och, czy możemy, mamusiu? — błagała Emma. Ich uwagę zwrócił jakiś zespół, grający na polu obok centrum.

— Piosenka ludowa z Somerset — poinformował Morgan, zsadzając

Emmę. Luiza zarumieniła się, kiedy objął ją w talii, pomagając zsiąść z wozu. Potem podeszła do niego jakaś gruba dama w jedwabiach.

— Przepraszam, będę musiał was na chwilę opuścić — rzekł Morgan.

— Nie spodziewałam się, że z nami zostaniesz, podobnie jak tego, że nas tu przywieziesz — zapewniła go z uśmiechem. Nie mogła jednak oderwać od niego oczu, gdy odchodził. Musiała przyznać, że jest bardzo, przystojny.

Zatrzymała się przy straganie i podniosła wazon, aby go obejrzeć. Właściciel kramu poinformował ją:

— Nie mogę go sprzedać. Najpierw pan Morgan musi otworzyć jarmark.

Odszukała wzrokiem Morgana, który wspinał się na przystrojoną flagami estradę.

Po otwarciu imprezy widziała go zawsze w towarzystwie kobiet.

Po pewnym czasie zauważyła, że wielu mężczyzn patrzy na nią. Jej błyszczące, miodowo-złote włosy lśniły w blasku słońca. Wyglądała bardzo ładnie w letniej kremowej sukience z niewielkim dekoltem.

Przy jednym ze straganów dostrzegła nawet Briana. Dziwiło ją, że tak wiele osób zatrzymuje się, aby z nią porozmawiać.

Pracując w szkole, poznała bardzo dużo ludzi. W pewnym momencie została jednak sama. Emma pobiegła gdzieś z Jenny. Weszła do hali, gdzie sprzedawano konfitury, galaretki, ciastka i wina domowej roboty.

— Dzień dobry, pani Clark.

— Pan Quince! — zawołała Luiza.

— Proszę mówić mi John. Widziałem, jak rozmawiała pani z wieloma osobami. Wcale nie wygląda pani na kogoś, kto niedawno przybył tutaj.

— To są rodzice moich uczniów.

— Uroczu pani wygląda! Bardzo elegancko. Do twarzy pani w tym kolorze — powiedział, gdy wyszli.

— Dziękuję, ale obawiam się, że te komplementy nie skłonią mnie do sprzedania domu.

— Dobry Boże...! Nie sądziła pani... Chociaż prawdę powiedziawszy byłem rozczarowany, kiedy zmieniła pani zdanie.

— Dowiedziałam się, że w sprawie sprzedaży zwracał się pan również do mojego dziadka.

Wzruszył ramionami.

— W ten sposób zarabiam na życie. Zajmuję się handlem nieruchomościami. Naprawdę trudno mi zrozumieć, jak można było pozwolić, by ten piękny dom na Księżycowym Wzgórzu stał się taką ruiną. Bóg raczy wiedzieć, kiedy po raz ostatni sprawdzano tam belki. Przypuszczam, że niektóre są już spróchniałe.

— Mam zamiar przeprowadzić generalny remont budynku.

Odwrócił się, aby stanąć z nią twarzą w twarz.

— Gdyby pani jednak zmieniła zdanie...

— Dowie się pan pierwszy, ale nie zmienię go. Nagle zrobiło się jej go żal. Domyślała się, że Seth musiał utrudniać mu życie.

— Dzień dobry, John — odezwał się za nim otyły, starszy mężczyzna. John przedstawił Luizie radnego Georga Khola i jego żonę Molly.

— Nie pamiętasz mnie, prawda, moja droga? — zapytał George, ściskając jej dłoń. Luiza szukała w pamięci. — Zbyt dużo czasu upłynęło od tamtej pory. Chociaż ja pamiętam. Odwiedzałem twojego dziadka. Byłaś wtedy wątłą dziewczynką o zuchwałym spojrzeniu.

— Twój dziadunio cieszył się w Hengeford wielkim poważaniem. Byliśmy na jego pogrzebie, ale nie widzieliśmy cię tam, moja droga — rzekła Molly.

— Nie. Byłam wtedy chora i nie mogłam przyjechać do Hengeford.

— To był prześliczny pogrzeb, prawda, George?

— Na miłość Boską, Molly, daj już temu spokój — zachnął się George, po czym ponownie zwrócił się do Luizy: — Słyszałem, że sprzedasz stary dom...

— Nie. Zmieniła zdanie — prędko wtrącił John.

— Ma do tego prawo. Myślę, że tego właśnie pragnąłby Seth — odrzekł George, wciąż spoglądając na Luizę. — Stare domy przechowują wiele wspomnień. Księżycowe Wzgórze jest właśnie takim domem. — Spojrzał na swoją żonę. Luiza zauważyła, jak Molly trąca go łokciem. Natychmiast dodał: — Przypuszczam jednak, że to wszystko plotki, prawda? Poza tym nie mieszkasz tam sama.

Zanim Luiza zdołała się odezwać, podbiegła Emma.

— Jenny pyta, czy mogę pójść do niej na herbatę...?

— Och! Czy to twoja córeczka? Czyż ona nie jest śliczna? — Twarz Molly pojaśniała. — Jak masz na imię, moja droga?

— Emma.

— Czy mamusia pozwoli, żebym mogła dać ci trochę pieniędzy, za które sobie coś kupisz na straganach?

Nie czekając na odpowiedź, sięgnęła do portmonetki. Kiedy monety wylądowały w dłoni Emmy, Luiza poczuła, że przenikają dziwny dreszcz. Nagle przed jej oczami pojawiły się obrazy z przeszłości. Miała około siedmiu lat i znajdowała się na jarmarku podobnym do tego. Nie czuła się jednak szczęśliwa.

Piskliwy głosik Emmy przywołał ją do rzeczywistości.

Gdy Molly i George odeszli, zwróciła się do Johna Quince'a:

— Jaka to miła para.

— I pracowita. On jest członkiem Southwater District Council, a ona wszelkiego rodzaju komitetów. Przypuszczam, że dzięki temu wyglądają tak młodo.

— Mają dzieci?

— Nie.

— Co miał na myśli, mówiąc o pogłoskach na temat Księżycowego Wzgórza?

— Ludzie mówią, że dziadek pani był bardzo okrutny dla swej córki. Ponoć wygnał ją z domu. Po śmierci wróciła tam jednak i zaczęła straszyć.

Usiadła na sianie. Słońce świeciło, a w powietrzu unosił się aromatyczny zapach świeżo skoszonej trawy. Kilku uczestników tańca morris* minęło ją, pobrzękując dzwoneczkami. Wszędzie wokół niej rozlegały się rozmowy i śmiechy. Panował radosny nastrój. Luiza była jednak smutna. Wciąż myślała o tym, co powiedział John. Przypominała sobie ciotkę Prudence, córkę swojego dziadka.

„Nie ma czegoś takiego jak duchy.”

Nie mogła się uwolnić od ponurych wspomnień. Zaczęły się od monet wysypujących się na dłoń Emmy. Kiedy była dzieckiem, ktoś w podobny sposób dał jej pieniądze.

Przyjechała na wakacje na Księżycowe Wzgórze. Prudence zabrała ją na jarmark. Był ładny dzień, taki jak dziś. Po południu Pru odwróciła się do niej i rzekła:

— Weź, Lui, idź i wydaj te pieniądze. Odchodzę na chwileczkę. Czekaj na mnie przy strzelnicy.

Po czym bardzo podekscytowana pobiegła na ulicę. Luiza ujrzała ją wsiadającą do odkrytego, sportowego samochodu. Za kierownicą siedział rudowłosy mężczyzna.

Prudence nie wróciła. Luiza miała dość czekania i poszła do domu sama.

* [Morris-dance](#) — angielski taniec ludowy, którego uczestnicy przedstawiają postacie z legendy o Robin Hoodzie.

Kiedy dotarła na Księżycowe Wzgórze, dziadek zasypał ją pytaniami. Gdy powiedziała mu, że widziała, jak Pru wsiada do czerwonego samochodu, w jego oczach pojawił się dziwny błysk. Żałowała, że nie zaczekała na swoją ciotkę, nawet gdyby miała czekać w nieskończoność.

— Kto jeszcze był w samochodzie, Luizo? — ciągnął surowo Seth.

— Ja... nie wiem.

— Bóg potrafi czytać w naszych sercach, prawda? On wie, kiedy kłamiemy.

— Zostaw ją, Seth — odezwała się babcia Cecily, która bardzo

rzadko sprzeciwiała się woli dziadka.

Leżąc już w łóżku, Luiza usłyszała, jak Prudence wchodzi do domu. Potem zaś rozległy się krzyki i płacz.

Czy był to początek wszelkich nieporozumień między ciotką a Sethem? Nieporozumień, które zakończyły się ucieczką Prudence?

— Rozmawiasz z sobą? — Głos Morgana przerwał jej rozmyślania.

Był tak wysoki, że kiedy podniosła wzrok na niego, jego ciemne włosy zdawały się łączyć z małymi, pędzonymi przez wiatr obłokami. Zdjął marynarkę i trzymał ją niedbale na ramieniu.

— Czy mogę wziąć kubek? — zapytał mały chłopiec. Luiza spojrzała na swój do połowy opróżniony kubek herbaty, dopiła ją i podziękowała chłopcu.

— Napije się pan czegoś, panie Le Fleet?

— Nie, dziękuję ci, Alan, ale masz, kup sobie coś.

— Fiu! Dzięki.

Prowadząc Luizę w kierunku strzelnicy, Morgan zauważył:

— Sądząc z promiennego uśmiechu, jakim cię obdarzył, dokonałaś tu podboju.

— To bardzo miły chłopiec, i mądry.

— Wiesz chyba, że przeprowadza się do Londynu? Jego ojciec dostał inną pracę.

Podniósł jedną ze strzelb i podał Luizie swoją marynarkę. Widziała mięśnie ramion pod cienkim materiałem kremowej koszuli.

— Nie powinni stąd wyjeżdżać. Ta rodzina mieszka w Hengeford od wielu lat. — Przerwał, a po chwili dodał: — Mogliby znaleźć pracę, gdyby ruszyła budowa przystani.

— Przypuszczam, że gdyby projekt został wprowadzony w życie, byłoby to również z pożytkiem dla twojej firmy? — zapytała.

— Możliwe.

Z hukiem trafił w sam środek tarczy.

Wracała do domu z Morganem. Emma poszła na herbatę do Jenny. Chętnie wróciłaby na Księżycowe Wzgórze piechotą, okazało się

jednak, że Morgan należy do mężczyzn upartych. Powiedział, że odwiezie ją po jarmarku do domu, i tak też uczynił.

Kiedy dwukółka opuściła centrum, minął ich John Quince w samochodzie.

— Od jak dawna zajmuje się nieruchomościami? — zapytała.

— Szmata czasu. To majster do wszystkiego. Prowadzi różne interesy.

— A zatem powinien już jeździć rolls-royce'em.

— Czy to jest twoja miara sukcesu? — W jego głosie pojawiło się rozbawienie.

— Staram się żyć bez zaciągania długów i mieć stały dopływ gotówki. To mi wystarcza.

— No cóż, wydaje mi się, że jesteś całkiem nieźle zabezpieczona.

Ściągnął cugle.

— Tak. Księżycowe Wzgórze jest moje i pozostanie moje. — Mówiła bardziej porywczo, niż zamierzała. Odkąd przypomniała sobie, jak naskarżyła na Prudence, odczuwała dziwny niepokój.

Ciągle myślała o tym, że to ona powinna dziedziczyć Księżycowe Wzgórze. Nie mogła jednak uwierzyć, że Seth był okrutnym człowiekiem. Jej zdaniem był tylko zbyt uparty i zapamiętały w gniewie.

— Domyślam się, że brakuje ci twego męża — odezwał się nagle Morgan. Wytrzeszczyła na niego oczy. — Co się stało? — zapytał.

— Właśnie o nim myślałam...!

— A ja wyczułem twój nastrój. Nie ma w tym nic niezwykłego. To miejsce, o którym krąży wiele legend i historii. Pomyśl o bitwach stoczonych na pobliskich wrzosowiskach. Duchy!

— Czy sądzisz, że na Księżycowym Wzgórzu straszy? — przerwała.

— Słuchasz plotek. Podejrzewam, że stary dom trzęsie się i trzeszczy, ponieważ wymaga kapitalnego remontu. Jeśli będziesz potrzebowała jakiegś pomocy, daj mi znać.

— Dziękuję.

— Przypuszczam, że potrafisz odetkać zbiornik na wodę i naprawić zamek.

— Tak się składa, że potrafię — odrzekła.

— Jednakowoż na tym kończą się twoje możliwości.

Potrafiła stawić czoła większości prac, jakie dawniej wykonywał Will. Zmusiła ją do tego sytuacja. Czasami wydawało jej się, że żyje sama od wielu lat.

Gdy znaleźli się na Księżycowym Wzgórzu, Morgan rzucił spojrzenie w stronę stopni prowadzących do domu. Zeskoczył z dwukółki i szybko wbiegł po stopniach. Zajrzał przez skrzynkę pocztową do wnętrza domu, wyciągnął do Luizy rękę i strzelił palcami.

— Szybko! Klucze!

Pospieszyła za nim. Nagle poczuła, że dywan, na którym stoi, jest mokry. Przerazona tym, co się stało, przyglądała się, jak Morgan zakręca kurki w pomywalni.

— O, psiakrew! — powiedziała ze złością.

— To się zgadza. Dlaczego nie sprawdzasz wszystkiego, zanim wyjdiesz z domu?

— Ależ...

Przeszedł szybko obok niej i otworzył drzwi do innych pomieszczeń.

— Na szczęście niezbyt wiele szkód. — Odwrócił się do niej. — Podejrzewam, że masz piwnicę.

— Tam.

Otworzył drzwi piwnicy i pochylił głowę, aby nie uderzyć nią w żarówkę. Po chwili zawołał:

— Masz tu teraz basen pływacki. Chodź i zobacz. Zawahała się. Nie chciała przyznać się nikomu, a zwłaszcza jemu, że boi się zejść na dół. Powoli stawiała kroki i o mało nie wróciła na górę, kiedy pajęczyna otarła się o policzek.

— Co za błagań! — westchnęła. Zaśmiał się.

— Bądź wdzięczna przodkom, że mieli piwnice. Gdyby woda nie

przesączyła się przez deski podłogi, pokoje wyglądałyby o wiele gorzej.

W jednym kącie piwnicy leżała sterta koksu, w drugim zaś stare meble. Morgan zawołał:

— Wejdiesz popływać?

„Nie czas na głupie żarty” — pomyślała. W tej samej chwili olbrzymi czarny pajak przemknął po stopniu tuż przed nią. Wrzasnęła przeraźliwie i wylądowała z pluskiem w wodzie. Morgan natychmiast znalazł się przy niej.

— Wiesz, nie mówiłem tego poważnie. W każdym razie nie sądziłem, że skoczysz do wody w ubraniu — powiedział, udając powagę. — Nic ci się nie stało? Nie martw się, zaraz się przebierzesz. Widziałem powódź o wiele gorszą niż ta, kiedy wezwano mnie na Równiny. Wpatrywała się w niego. Był mokry i brudny. Ona także była przemoknięta do nitki. Nagle odniosła wrażenie, że sytuacja jest naprawdę idiotycznie zabawna. Zaczęła śmiać się, aż łzy popłynęły po policzkach. Morgan pomógł jej wstać i odezwał się stanowczym głosem:

— Dość tego! Przestań.

Ucichła i z przerażeniem spojrzała na niego. Mówił serio! Czowała, jak mocno trzyma jej dłonie. Źle ją zrozumiał. Histeria nie była w jej stylu. Stała przez chwilę nieruchomo. Cienka sukienka przylgnęła do jej mokrego ciała. Nagle poczuła na sobie pożądlivy wzrok Morgana. Szybko odsunęła się od niego.

— Najlepszym sposobem na uporanie się z tą wodą...

— Doreen i ja prędko ją uprzątniemy — przerwała. Nagle dotknął kosmyka jej wilgotnych włosów.

Zrobił to tak delikatnie, ten mężczyzna wzbudzał w głębi jej serca dawne, na wpół zapomniane uczucia. Morgan odwrócił się i zaczął badać dywan w hallu.

— Skontaktuj się z ludźmi od ubezpieczeń. Przyślę kogoś z pompą i odwilżaczem.

Miała właśnie podziękować mu za pomoc, kiedy odezwał się do niej tonem, jakim zazwyczaj rodzice karzą swe dzieci:

— I na litość boską, kiedy następnym razem będziesz wychodzić z domu, upewnij się, że okna są zamknięte, a kurki...

— Nie zostawiłam odkręconych — odparła stanowczo.

— Czy zadałaś sobie trud zajrzenia do pomywalni, zanim poszłaś na jarmark?

— Bardzo ci się spieszyło.

— Więc nie zawracałaś sobie tym głowy?

— Nie.

— A widzisz! Mam nadzieję, że w klasie nie jesteś taka roztargniona.

— Nie zapominam o policzeniu nożyczek pod koniec dnia, wyjęciu wtyczki z gniazdka, wpisaniu nazwiska małego Jasia do książki pierwszej pomocy, jeśli upadnie i...

— W porządku, w porządku. — Przebiegł palcami po sztukaterii. Pompa będzie tu dziś wieczorem.

Pobiegła szybko na górę. Za kogo on się uważał, mówiąc do niej w ten sposób? Miała właśnie ściągnąć sukienkę, kiedy ujrzała się w lustrze.

— O, nie! — jęknęła.

Nie zdawała sobie sprawy, że jej mokra sukienka stała się taka przezroczysta. Poczuła się bardzo zakłopotana, mimo że w tej chwili nikt na nią nie patrzył.

Wszedłszy do domu, Doreen zawołała:

— No, to nie ja zostawiłam odkręcone kurki! — Tajemniczo zniżyła głos. — Jakies dziwne rzeczy dzieją się w tym domu.

— Istnieje logiczne wytłumaczenie wszystkiego. — Luiza weszła do bawialni. — Doreen, tutaj jest otwarte okno — krzyknęła.

— No, ja nie...

— Wiem. To takie dziwne. Wygląda na to, że ktoś się tu włamał, ale przecież nic nie zginęło...

— Niewiele jest w tym domu rzeczy, które mogłyby się komukolwiek przydać — skomentowała ponuro Doreen.

Emma wróciła od Jenny właśnie wtedy, gdy przyjechał mężczyzna z pompą. Dziewczynka usiadła na stopniach piwnicy, bacznie przyglądając się pracy maszyny.

— Wypompujemy tę wstrętną, paskudną wodę. — Mężczyzna łypnął na Emmę i uśmiechnął się.

— Czekaj! Chcę, żeby moje dziecko to zobaczyło — zawołała Emma i wybiegła z piwnicy. Luiza była zdumiona, gdy mała powróciła, tuląc swoją dawno porzuconą laleczkę.

— Teraz działa jak wasz odkurzacz — wyjaśnił Harry.

— Nie widział pan naszego odkurzacza! — Doreen wykrzywiła twarz.

Mężczyzna mówił dalej.

— Dziwny zbieg okoliczności. Tu wszystko zalane, a w farmie przy drodze...

— Co? — spytała szybko Luiza.

— Nie wiem dokładnie co, ale jest tam weterynarz i prasa.

Bardzo zaniepokojona pośpiesznie zatelefonowała do Briana.

— Brian, co się stało?

— Jakiś pies dorwał się do moich owiec. To była prawdziwa jatka...

— Głos mu się załamał. — Nie rozumiem... brama była otwarta. Jestem pewien, że ją zamknąłem. Połowa moich owiec zniknęła. Moje jagnięta... Nie uwierzyłabyś... Weterynarz opatruje tylko te, które mają szansę na przeżycie.

— To straszne! — wyszeptała. Otarła łzy, które napłynęły jej do oczu. W żaden sposób nie mogła pomóc Brianowi.

W porównaniu z tą tragedią incydent na Księżycowym Wzgórzu był niczym.

A może był tylko zapowiedzią tego, co miało nadejść?

Rozdział III

Tego wieczora obłoki morskiej mgły wznosiły się nad Księżycowym Wzgórzem, sprawiając, że powietrze stało się wilgotne i chłodne. Luiza przypomniała sobie powiedzenie o nie zdejmowaniu kożucha. Wiele w nim było prawdy.

Usiadła, podkulając nogi. Obok leżała otwarta książka. Nareszcie wszystko wracało do normalności. Woda z piwnicy została wypompowana. Udało się też posprzątać kilka pokoi. Zamierzała wraz z Doreen zrobić generalne porządki w pozostałej części domu.

W pokoju panowała cisza, którą mąciło jedynie tykanie zegara. Emma już spała. Doreen zaś oglądała horror w swoim pokoju. Luiza wiedziała, że jeżeli położy się teraz do łóżka, nie będzie mogła zasnąć. Zbyt wiele rzeczy ją niepokoiło. Było wiele pytań, na które nie potrafiła znaleźć odpowiedzi.

Nagle otworzyły się drzwi i do pokoju weszła Doreen.

— Zaparzę filiżankę herbaty. Chce pani? Później, kiedy usiadły razem w blade-miodowym

blasku lampki stołowej, Luiza powiedziała cicho:

— Nie zostawiłyśmy odkręconych kurków, Emma też tego nie zrobiła... Przypuszczam więc, że ktoś musiał włamać się do domu.

— Tylko po to, żeby narobić bałaganu? To bez sensu. Po co ktoś miałby nam spleść takiego figla?

— To jedyne wytłumaczenie.

— Doprawdy? — Doreen utkwiała w niej wzrok. — Niech pani porozmawia z kobietami, które pracowały w tym domu. Niech je pani zapyta o światła, które same zapalają się i gasną, o meble poruszające się bez dotyku ludzkiej ręki i o nocne hałasy. One pani powiedzą. Jej oczy miały dziwny blask. Luiza czuła się jak zahipnotyzowana.

— Jakie hałasy? — zapytała. Dotychczas ignorowała opowieści na temat obecności upiórów na Księżycowym Wzgórzcu. Teraz jednak nie wiedziała już, co o tym myśleć.

Doreen pochylała się.

— W spokojne noce, takie jak ta, niektórzy słyszeli w tym domu płacz dziecka.

— Słyszałam o tym. To tylko wiatr.

— Może tak, może nie. To wszystko, co mam do powiedzenia. — Nie mówiłam pani o rozmowie telefonicznej, jaką przeprowadziłam z Brianem.

Opowiedziała o rzezi na farmie.

— Tak więc, widzi pani, ktoś najwyraźniej zamierza bardzo utrudniać życie Brianowi. Nam też, jak sędzę. I kto wie, jak to się skończy? — Spojrzała na Doreen ze współczuciem. — Mówię pani, pani Clark, są takie chwile, kiedy mówię do siebie: „Dalej, Doreen, wynoś się z tego nawiedzonego domu”. Ale zostaję, bo — no cóż — niezbyt łatwo dostać posadę. Tak, przyznaję, że boję się tego, czego nie mogę zobaczyć, ale bandyci to zupełnie inna sprawa. Na bandytów można wziąć dubeltówkę.

Luiza nie mogła spać tej nocy. Starła się rozwiązać zagadkę, lecz nie potrafiła dojść do żadnego logicznego wniosku. Czyżby John Quince był zamieszany w tę sprawę? Brian i Luiza byli jedynymi osobami w okolicy, które nie odsprzedały mu swych posiadłości. Luiza uważała się jednak za prawdziwą znawczynię ludzkich charakterów i nie wierzyła, że Quince jest aż tak złym człowiekiem.

Wczesnym rankiem ubrała się w starą koszulę i dżinsy, przewiązała włosy szeroką opaską i wraz z Doreen poszła do zatechłej piwnicy.

— Ostrożnie. Te stopnie są bardzo niebezpieczne, podobnie jak ta podłoga. Proszę uważać na wystające płyty kamienne, może się pani o nie potknąć.

— Co, do licha, zrobimy z tymi wszystkimi starymi meblami? — spytała Doreen.

— Mogłyby się komuś spodobać.

— Nikt nie zechce tych gratów.

Doreen powiodła palcem po zakurzonych poręczach fotela.

— Niech pani tylko spojrzysz na ten brud.

Pochłonięte były porządkami, gdy usłyszały, że ktoś woła. Luiza wbiegła po stopniach i rozpromieniła się na widok Roba.

— Sprawiasz wrażenie bardzo pracowitej osoby! Luiza zaprowadziła go do ogrodu, gdzie pod dębem stały białe krzesła i stół.

— Słyszałem, że miałaś tu kłopoty, Luizo. Przyjechałem sprawdzić, czy nie potrzebujesz pomocy, ale wygląda na to, że świetnie dajesz sobie radę.

Uśmiechnęła się na myśl o poczcie pantoflowej. Niczego nie da się tu ukryć! Może to i dobrze, mówiła sobie, szczególnie jeśli ludzie są na tyle uprzejmi, by oferować pomoc.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, słuchając słodkiego śpiewu drozda. Pijąc chłodny jablecznik, Rob powiedział nieśmiało:

— Dziś po południu wybieram się na mecz krykieta w Taunton. Może zrobisz sobie przerwę w pracy i przyjedziesz tam z Emmą? Warto zobaczyć stolicę hrabstwa.

— Dziękuję, ale...

— Jest tam wiele do zwiedzania: Whirligig Lane, pomnik Thomasa More'a. Mogłabyś też usłyszeć słynne kościelne dzwony.

Zaśmiała się razem z nim.

— To miło z twojej strony, Rob, ale wydaje mi się, że dla Emmy ta wyprawa byłaby zbyt męcząca.

— Ależ dzieciaki uwielbiają wycieczki! — Monotonnym głosem opowiadał o interesujących miejscach w Tauton. Nagle wzruszył ramionami. — Nie musimy oglądać krykieta. Znam kapitalną, małą herbaciarnię.

Dostrzegła smutek w jego oczach. Czy ten mężczyzna, który cały dzień spędzał w szkole, mógł być samotny? Jego żona zmarła zaraz po ślubie. Wrażliwość Luizy na najdrobniejszy smutek u innych sprawiła, że nagle ogarnął ją entuzjazm.

— Jedziemy z rozkoszą! Zerwał się.

— Wspaniale! Czy możemy umówić się na drugą?

Zaraz po jego odjeździe, przed dom zajechało lśniące, srebrzyste ferrari. Luiza zerwała opaskę z głowy.

Morgan wyskoczył z samochodu i wbiegł do domu.

— Jak teraz jest w piwnicy? — zawołał. Biegnąc za nim, spojrzała w lustro i zauważyła, jak bardzo jest rozczochrana. Kiedy poprawiła włosy, usłyszała, że Morgan rozmawia z Emmą, która dopiero teraz jadła w kuchni śniadanie. Zaraz potem zszedł do piwnicy, a Luiza podążyła za nim.

— Wykonał niezłą robotę, prawda? — zapytał z zadowoleniem.

— Bardzo dobrą. Miło było patrzeć, jak woda opada.

Zaczął wyjaśniać techniczne szczegóły zasady działania pompy. Słuchała z zainteresowaniem. Posługiwał się terminami, które mógłby zrozumieć tylko ktoś z branży budowlanej. Luizie podobało się to, że rozmawiał z nią jak z kolegą po fachu, że traktował ją jak osobę dorównującą mu inteligencją.

„To umysł ma znaczenie, nie wygląd. Musi brać mnie taką, jaka jestem.” — pomyślała.

Gdy wrócili do kuchni, usłyszeli rozpaczliwy krzyk Emmy?

— Nie chcę tego!

— To bardzo zdrowe! — Doreen podsunęła dziewczynce z powrotem jej do połowy zjedzoną kaszkę.

Morgan skrzywił się.

— To wygląda jak szlam.

Emma wybuchnęła chichotem. Doreen zacisnęła usta i zmarszczyła czoło.

— Śmiech przed śniadaniem, płacz przed nocą — powiedziała surowo.

— Bzdury! — zakpił Morgan. Kiedy on i Luiza znaleźli się w halu, stwierdził: — Nieciekawe indywiduum.

— Nie dbam o to. Nie chcę, żeby porzuciła pracę u mnie.

— Nie martwisz się, że te wszystkie zabobonne głupstwa odbiją się na Emmie?

— Emma szybko zapomina. W każdym razie nikt inny nie chciałby tu pracować. Szczególnie teraz. Zaczynają się dzieć tu niesamowite rzeczy. Pozostawiono odkręcone kurki, nie zrobiła tego żadna z nas. Nie zostawiłyśmy też otwartego okna. Poza tym nie uwierzę w to, że Brian zostawił otwartą bramę.

— Co to za sprawa z Brianem?

Gdy opowiedziała mu, co się stało, pospieszył ku drzwiom.

— Pojadę do niego.

— On nie chce się z nikim widzieć. Ja uszanowałam jego życzenie.

— Ale ja z pewnością mógłbym mu w czymś pomóc. Poza tym nie jestem aż tak wrażliwy, by mógł mną wstrząsnąć ten widok.

Zastanawiała się, czy była to aluzja do niej i tego, jak wrzasnęła na widok pająka. Wychodząc odwrócił się przy drzwiach i zapytał:

— Może ty i Emma przyjechałybyście do Staithes na resztę dnia?

— Staithes?

— Do mojego domu.

Zaskoczona i zadowolona, miała właśnie przyjąć zaproszenie, kiedy przypomniała sobie Roba. Powiedziała Morganowi o wycieczce do Tauton.

— Świetnie. Bylebyś tylko nie siedziała tu w zamknięciu przez cały dzień — zauważył od niechcienia, po czym podniósł rękę w krótkim geście pożegnania i zbiegł po stopniach. Patrzyła, jak jego ferrari rozpryskuje żwir.

Ucieszyło ją zaproszenie do Staithes. Zdumiała się jednak złośliwymi figlami, jakie czasami płało jej życie.

Popołudnie z Robem należało do udanych. Przypuszczała, że on również musiał być tego zdania, poprosił ją bowiem, aby zakończyła dzień w dobrym stylu i zjadła z nim kolację w „Spichlerzu” na nadbrzeżu w Hengeford.

Włożyła ciemną, koralową spódnice z jedwabiu, dobraną pod kolor bluzkę oraz pantofle na wysokich obcasach. Owinęła wysoko upięte włosy wąską, aksamitną wstążką, tak by jej końce opadały swobodnie

pomiędzy kręcone, złote kosmyki włosów. Delikatny makijaż dodał rumieńców jej jasnej cerze. Przejrzała się krytycznie w lustrze. Zauważyła w swym wyglądzie wyraźną poprawę. Była z siebie zadowolona.

— Powinnaś robić to częściej — powiedziała, patrząc w lustro. Przez chwilę pomyślała, że gdyby nie złośliwość losu, mogłaby zjeść dziś obiad z Morganem.

Doreen krzyknęła z dolnego piętra:

— Gość do pani, pani Clark!

W połowie drogi na dół, Luiza stanęła jak wryta.

— Ciocia Hilda!

Siostra jej matki była ostatnią osobą, której wizyty można by się było spodziewać na Księżycowym Wzgórzu.

Od czasu gdy Hilda przeprowadziła się do Manchesteru, rodzina rzadko ją widywała.

— Witaj, Luizy, kochanie. Jak się masz?

— Ciociu! Cóż za niespodzianka! — Luiza pocałowała ją w policzek.

— Artur i ja jesteśmy w drodze na wakacje do Bude, powiedziałam więc do niego: „Przejeżdżając tak blisko Hengeford, musimy wstąpić do naszej Luizy. Nigdy by nam tego nie wybaczyła”.

— Oczywiście...

— To tylko przelotna wizyta, że tak powiem. Zarezerwowaliśmy stolik w restauracji hotelowej na dzisiejszy wieczór. — Rozejrzała się dokoła. — I pomyśleć, że odziedziczyłaś to wszystko. Co by powiedziała na to moja matka? Ogromnie dużo miejsca, prawda? Brakuje ci tylko dywanów.

— Miałyśmy powódź...

— Wuj pojechał znaleźć garaż. Czy mają garaże w okolicy?

— Wejź ciociu, siadaj proszę.

— Nie chcę żadnego zamieszania z mojego powodu. Znasz mnie: biorę cię taką, jaką cię znajduję. — Hilda obrzuciła Luizę długim

spojrzeniem. — Z twojego wyglądu wnioskuję, że świetnie ci się powodzi.

Luiza pokazała jej pozostałe pokoje. Kiedy Hilda kręciła się po domu, Doreen spytała z kwaśną miną:

— Czy oni będą chcieli jeść?

Hilda powtórzyła, że nie mogą dłużej zostać, kiedy jednak przybył Artur, Luiza namówiła ich na kawę i kanapki.

— Spróbujemy tu wpaść w drodze powrotnej, prawda, Arturze?

— O, tak. Postaramy się to zrobić. — Artur uśmiechnął się. — Masz wspaniały dom, Luizo.

Zajadając ciastka, Hilda dawała Luizie dziwne znaki oczami.

Kiedy wyszli z domu, Hilda została w tyle. Chwyciła Luizę za rękę i szepnęła:

— Nieźle się tutaj urządziłaś. Dom będzie wart grubą forszę, kiedy zostanie należycie odnowiony. No i ta plaża... — Obejrzała się przez ramię. — Chcę, żebyś wiedziała, że nie pisnę nikomu ani słowa. Wiesz o czym.

Luiza spojrzała na nią zdumiona.

— O czym?

Hilda rzekła konspiracyjnie:

— Nie musisz żywić żadnych obaw. Stanowimy rodzinę, a ja jestem zwolenniczką dotrzymywania rodzinnych tajemnic. Ostatecznie takie rzeczy się zdarzają i nie ma sensu udawać, że jest inaczej. Twoja matka była przecież moją siostrą. — Podniosła palec. — Mam zapieczętowane usta, Luizo. Nie powiedziałam o tym nawet Arturowi.

— Ciociu...! — zaczęła Luiza, rozpaczliwie pragnąc zrozumieć, o co chodzi, lecz Hilda ucałowała ją i odeszła szybkim krokiem.

— Luizo, wyglądasz, jakbyś była daleko stąd — odezwał się Rob, gdy siedzieli przy stoliku obok okna z widokiem na niewielkie nabrzeże.

— Przepraszam...

— Jak stek?

— Wyborny.

— Wcinaj. Mają podać o wiele więcej. — Z apetytem zabrał się do jedzenia.

Luiza starała się nie myśleć o tym, co powiedziała jej ciotka. To było jednak zbyt trudne. Hilda otworzyła długo zapomniane drzwi do jej pamięci. Luiza przypomniała sobie dziwną uwagę, jaką wygłosiła kiedyś jej babka ze strony matki. Połączyła ją teraz z tym, co powiedziała Hilda, i to sprawiło, że zaczęła odczuwać dziwny niepokój.

„Muszę zapomnieć o wszystkim, co mówiła Hilda. Wykuwam zupełnie nowe życie dla Emmy i siebie i nie mam zamiaru pozwolić, by cokolwiek miało mi w tym przeszkodzić. "Odsunęła od siebie złowrogie myśli wywołujące poczucie winy i zaczęła uważnie przyglądać się nabrzeżu.

Pierwsi w tym roku goście Hengeford cieszyli się ostatnimi promieniami słońca. Przechadzali się po plaży, spoglądając na łodzie rybackie i stojące wzdłuż nabrzeża krażowniki. Tłum gromadził się z zaciekawieniem obok wozu, z którego wysiadały grupy tancerzy.

— Kocham Hengeford, Rob. Nie mieszkam tu długo, lecz to miasto podoba mi się coraz bardziej. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę wreszcie Somerset.

Spojrzał na nią nieśmiało.

— Chciałbym być tym, który ci je pokaże. Tancerze skakali dokoła, wywijając klepkami.

Wprawnymi ruchami potrzęsali dzwoneczkami przyczepionymi do goleni, gdy z pomalowanego megafonu płynęły skoczne tony. Luizna siedziała wyprostowana, z błyszczącymi oczyma. Przytupywała w takt muzyki.

Rob pochylił się do przodu, by przypatrzeć się tancerzom.

— Wygląda na to, że zebrały się tu grupy z całego kraju.

— Tak dużo wiesz. O wszystkim.

— To wynika z codziennej konieczności zaspokojenia wszystkich

wścibskich, małych umysłów. Ciekaw jestem, czy wiesz, że niektórzy tancerze morris czernią sobie twarze. Ponoć robią to po to, aby ukryć się przed diabłem.

Po zakończeniu tańca odbyła się kwesta. Luiza zauważyła w tłumie Johna Quince'a. Widziała, jak podszedł mimochodem do mężczyzny o prostych włosach, który kwestował, lecz nie był ubrany tak jak inni tancerze morris. Odniosła wrażenie, że John wyjął coś z torby na datki, zanim odszedł od mężczyzny. Tak to wyglądało, lecz z drugiej strony Quince znajdował się zbyt daleko, by Luiza mogła być pewna.

Słuchała uważnie, jak Rob objaśnia pogański rodowód tańca morris, gdy do restauracji wszedł Morgan. Towarzyszyły mu dwie kobiety i mężczyzna. Śniada, piękna dziewczyna zaglądała mu w twarz kokietyrjnie.

Luiza była oszołomiona nieoczekiwanym pojawieniem się Morgana w lokalu. Czuła się bardzo zakłopotana.

Ponownie skierowała uwagę na Roba, a potem spąsowiała jeszcze bardziej, gdy przewróciła kieliszek z winem.

— Och — tak mi przykro...

Kelner pospieszył naprzód ze ścierką, podczas gdy Rob zapewniał ją, że zdarzają mu się takie rzeczy. „Jaki on miły” — pomyślała. Wyciągnął rękę i położył dłoń na jej dłoni.

— Jesteś pewna, że nie rozlało się na spódnicę? Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się do niego. Doznała jednak uczucia mrowienia, kiedy Morgan utkwiał zmysłowe spojrzenie w jej głęboko wyciętym dekolcie, przyglądając się wypukłości jej kształtnych piersi.

Kiedy wróciła na Księżycowe Wzgórze, pożegnawszy się z Robem i podziękowawszy mu za miły wieczór, spostrzegła nikłe światło sączące się spod drzwi salonu. Weszła — i osłupiała z wrażenia. Doreen siedziała zgarbiona w fotelu, oglądając horror w kinie nocnym. Na ekranie wstawała z grobu jakaś kobieta. Obok zaś siedziała na kanapie Emma zwinięta w kłębek, z oczyma wlepionymi w ekran.

— Czemu nie jesteś w łóżku, Emmo? — warknęła Luiza.

Doreen odwróciła się, zerwała na równe nogi i wyłączyła telewizor. Wciąż rozszoszczona Luiza, przeszyła ją wymownym spojrzeniem.

— Nie chciałabym przeszkadzać w oglądaniu!

— Włącz to z powrotem. Chcę zobaczyć żywe trupy! — krzyczała Emma i gdy Luiza wyciągnęła rękę do córki, ta wcisnęła się mocno w kanapę, tuląc lalkę.

— Chcemy zobaczyć...!

— Do łóżka! — Luiza starała się nad sobą panować. Dopiero gdy Emma poszła w końcu spać, pospieszyła na dół i stanęła twarzą w twarz z Doreen.

— To pani sprawa, co pani ogląda, Doreen, ale nie mogę uwierzyć, że pozwoliła pani Emmie!

— Powinna pani być mi wdzięczna, że opiekowałam się dzieckiem!

— Oczywiście, że jestem wdzięczna, że została pani w domu, ale co ona, u licha, robiła tu na dole o tej porze?

— Nie mogłam zostawić jej na górze. Wolałaby pani, żebym zignorowała tę niebezpieczną sytuację? — wykrzyknęła Doreen.

— Co? Jakie niebezpieczeństwo? — spytała niecierpliwie Luiza.

— Hałasy, ot co. Niesamowite hałasy na piętrze. Ktoś tam myszkował na górze. — W oczach Doreen malowało się przerażenie.

— Zajrzała pani do wszystkich pokoi?

— Jasne, że tak.

— I...?

— To, że nie widzi się nikogo, wcale nie oznacza, że nikogo tam nie ma. Na Boga, pani Clark, w tym domu działają moce...

— W porządku, Doreen... — Luiza starała się wyrównać oddech. — W porządku, więc uważała pani, że najlepiej będzie sprowadzić Emmę na dół, ale dlaczego pozwoliła jej pani oglądać ten okropny film?

— Usnęła na kanapie. Nie zauważyłam, że się obudziła. W każdym razie teraz może pani znaleźć kogoś innego do opieki nad dzieckiem,

bo ja się stąd, cholera, wynoszę. W tym domu czai się zło.

— Ależ, Doreen...

— I powiem pani coś jeszcze: za bardzo pani niań-czy to dziecko. Zanim dorośnie, zobaczy o wiele gorsze rzeczy. — Światło błysnęło przez okno. — To moja taksówka.

— Wyjeżdża pani? O tej porze?

Doreen szybkim krokiem wyszła z pokoju. Luiza poszła za nią i zobaczyła walizkę z ułożonym na niej płaszczem. Wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia gospodyni.

— Nie rozstawajmy się w ten sposób. Nie kłóćmy się.

— Ja się nie kłocę... pamięta pani tego faceta, który chciał, żeby pani sprzedała mu dom? No więc, gdybym była na pani miejscu, przyjąłabym jego ofertę, bo nikt inny nie zechce go od pani kupić.

Kiedy Doreen odjechała, Luiza doznała uczucia pustki i osamotnienia. Przed pójściem do sypialni sprawdziła wszystkie drzwi i okna w domu.

Tej nocy miała nader osobliwe sny. Błądziła od pokoju do pokoju, płacząc i cierpiąc dotkliwy ból. Obudziła się zrana potem i usłyszała, że Emma naprawdę płacze. Mogła się spodziewać, że po obejrzeniu filmu małej będą się śniły koszmary. Kiedy jednak dotarła do pokoju Emmy, ze zdumieniem stwierdziła, że dziewczynka leżała spokojnie pogrążona w głębokim śnie.

Następnego ranka Luiza spojrzała z okna na ołowiane morze obmywające brzeg. Zmarszczyła brwi. Coś było...

Począpiała w kaloszach przez wilgotną od porannej rosy trawę do płotu otaczającego ogród.

Na jeden ze słupów ogrodzenia nasadzona była głowa owcy.

— Co powiedziała policja? — zapytała Betty w pokoju nauczycielskim.

— Nie sędzę, żeby mieli pojęcie, kto to zrobił. Wspomnienie tego, co się wydarzyło, przyprawiało Luizę o mdłości.

— Trzeba być umysłowo chorym, żeby zrobić coś takiego.

— A list, który przy niej znalazłaś, nakazywał ci opuścić Księżycowe Wzgórze? — spytał Rob, zmarszczywszy czoło.

— Nie było o tym mowy wprost — odrzekła oschle Luiza.

— Nie dziwię się, że spóźniłaś się do szkoły. Nie powinnaś była wcale przychodzić. Radziłabym ci wrócić do domu. Nie możesz jednak mieszkać tam sama. Postarasz się o inną gospodynię, prawda?

— Dam ogłoszenie w prasie ogólnokrajowej. Na[^] pewno nie zgłosi się żadna miejscowa kobieta, zwłaszcza, jeśli Doreen będzie rozpowiadać, że na Księżycowym Wzgórzu straszny.

Panna Lyons, wicedyrektor szkoły, dotknęła jej ręki. Była trochę starsza od Luizy. Wiele osób mówiło, że jest ona urodzoną nauczycielką. Lubiła pracę z dziećmi, lecz w kontaktach z dorosłymi cechowała ją rezerwa.

— Zarządziłam, żeby Betty zastąpiła panią dzisiejszego ranka na dyżurze na boisku — rzekła bez uśmiechu.

— O, dziękuję!

Była wciąż jeszcze wytrącona z równowagi przez incydent na Księżycowym Wzgórzu, nie aż tak jednak, aby nie zauważyć wrogości w oczach drugiej kobiety. Gdy panna Lyons odeszła, Luiza zapytała Betty:

— Czy... coś z nią nie w porządku?

Wróble na dachu ćwierkają, że zeszłego wieczora piłaś wino i jadłaś obiad w towarzystwie Roba. — Betty uśmiechnęła się krzywo.

— Masz na myśli...? Panna Lyons...?

— Tak, mam na myśli pannę Lyons. Ma bzika na punkcie Roba. Ale nie gryź się, niedługo jej przejdzie — pocieszyła ją po czym dodała: — Słuchaj, może ty i Emma przyjechałybyście do mnie na kilka dni?

— Dzięki, Betty. Doceniam to, ale nikt nie wypędzi mnie z Księżycowego Wzgórza. Jeśli wyjadę, zrobię to bez pomocy innych. Na razie nie zamierzam zmieniać miejsca zamieszkania. Mam dubeltówkę dziadka i użyję jej w razie potrzeby.

— O, mój Boże! Możesz zostać oskarżona o morderstwo.

— Strzelać prosto w kolana. Tak mówi Brian.

— Wy dwoje powinniście być ostrożni z takimi rzeczami. Jak on się czuje?

— Utrata owiec była dla niego bolesnym ciosem. — Luiza znowu pobladła. — Dzięki Bogu, że Emma nie widziała głowy owcy. — Zamknęła na moment oczy, po czym wyszeptwała: — To był okropny widok, Betty. Nie mogę!

— Nie powinnaś dziś prowadzić lekcji — rzekła cicho Betty.

— Wolalabym się czymś zająć.

W głębi duszy zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie na tyle zajęta, aby zapomnieć o tym, co się wydarzyło. Zaraz jednak po wejściu do klasy praca z dziećmi tak ją pochłonęła, że przestała myśleć o tych wszystkich okropnościach.

Rozległ się wrzask. Wysoki chłopiec wymachiwał czymś przypominającym węża, strasząc dziewczynki.

— Simon! — skarciła go Luiza. — Co ty wyprawiasz?

— On ciągle do mnie macha tym węgorzem, proszę pani — narzekała dziewczynka.

— Czy on nie wygląda prawdziwie, proszę pani? Cały śliski i obrzydliwy.

— One nie są obrzydliwe. Mój dziadek łapie węgorzyki wielką siecią i wrzuca je do wanny. Są śliczne — zapiszczał Alan.

Luiza dyskutowała z dziećmi o węgorzach i opowiadała im o tym, jak te ryby zaczynają swe życie w Morzu Sargassowym, gdy za jej plecami ktoś szepnął:

— Czy mogę zamienić słowo z tą hałastrą, Luizo? To był Rob. Odwrócił się do dzieci i przemówił głośniej:

— Czy wszyscy oprócz Alana jadą na wycieczkę do Wookey Hole?

Rozległ się chór głosów:

— Tak, proszę pana. Zobaczymy czarownicę?

— Kto wie? Być może ci, którzy skończyli swoje projekty. — Dało się słyszeć szuranie nogami. Wszyscy zabrali się do pracy.

— Co słyhać? — Rob życzliwie spojrział na Luizę.

— Świetnie. Nie ma to jak praca nad projektem. Od razu zapomina się o zmartwieniach. — Kiwnęła głową, uśmiechając się wesoło.

— Jeżeli obawiasz się powrotu na Księżycowe Wzgórze, mogłabyś zatrzymać się u mnie.

— Jesteś bardzo miły, Rob. Wszyscy są dla mnie tacy dobrzy.

Została po lekcjach, aby przymocować rysunki do kartonowych podkładek i powiesić je na ścianach. Była zajęta spinaniem, gdy usłyszała:

— Więc to tu się schowałaś!

— Morgan?! Co ty tu robisz? — Poczowała, że jej policzki oblewa rumieniec.

— Szukam cię. — Przykucnął obok niej, podnosząc jeden z obrazków. — Ach, co za talent!

— Tak, w klasie jest wiele zdolnych dzieci... — Urwała, kiedy chwycił ją za rękę.

— Słyszałem, co się stało, Luizy. — Jego oczy błyszczały. — Wszędzie żyją źli ludzie. — Obiecuję ci jednak, że winni zostaną schwytani i ukarani. Wiem, że nie ma sensu proponować ci zmiany mieszkania, ale możesz przynajmniej spędzić dzień z dala od Księżycowego Wzgórza. Przyjedź w sobotę do Staithes. Emma aż się rwie do tego. Widziałem ją przed chwilą. Wyglądała bardzo ładnie. Zupełnie jak mama.

— Czy chcesz powiedzieć, że spytałeś ją, zanim zapytałeś mnie?

— Wspomniałem tylko, że zamierzam cię o to zapytać. — Uniósł dłoń w niedbałym geście.

„Jest bardzo przebiegły — pomyślała. — Na pewno zawrócił Emmie głowę gadką o kucykach i koniach.”

— No, więc?

„Więc teraz wolno mi jechać jego prywatną drogą” — pomyślała. Mimo to ciarki przeszły jej po plecach, gdy przypomniała sobie swoje pierwsze spotkanie z Morganem.

Spodziewała się, że jego dom będzie okazały, nowoczesny i imponujący. Wzdłuż podjazdu rosły cisy. Kiedy Luiza zatrzymała samochód przed domem, Emma szybko wysiadła i w podskokach pobiegła przed siebie. Luiza podążyła za nią wolniej, rozglądając się ciekawie dookoła. O, tak, był to okazały dom. Panowała tu jednak ciepła, swojska atmosfera. Staithes był stylowym, farmerskim domem z dziką różą pnącą się po kamiennych ścianach. W oddali za trawnikiem Luiza dostrzegła korty tenisowe i basen pływakki.

Wszystko ją tu zachwycało.

Emma wraca do niej, trzymając Morgana za rękę. Miał na sobie bryczesy i biały sweter z golfem, który podkreślał jego barczystą sylwetkę. Mężczyzna spojrział z aprobatą na jej dżinsy.

— Dobrze, że posłuchałaś mojej rady.

— Mówiłam ci — nigdy nie jeździłam...

— Nie martw się. Napijemy się kawy, zanim rzucimy cię na pożarcie lwom.

Podążyła za nim do pokoju, w którym stały głębokie, miękkie sofy z olbrzymimi, gąbczastymi poduszkami. Wyobraziła sobie, jak musi tu być przyjemnie, kiedy w przepastnym kominku płoną polana.

Z przyjemnością pozostałaby tam, popijając kawę i jedząc wyborny placek domowej roboty. Z rozmarzenia wyrwał ją piskliwy głosik Emmy:

— Kiedy zobaczymy konie?

Wszyscy troje poszli do stajni położonej na tyłach domu.

— To jest Dilys. — Pogłaskał walijskiego kucyka.

— Mogę pogłaskać? — Twarz Emmy jaśniała radością.

— Oczywiście.

— I tego wielkiego konia też?

— Nie radzę. McTavish jest dziś w złym humorze. Nie lubi nieznanym. — Poklepał wspaniałego wierzchowca i uspokoił go:

— W porządku, w porządku.

Jak to się stało, że zgodziła się na naukę jazdy konnej? Wolałaby

stawić czoło klasie pełnej niegrzecznych dzieci, niż zbliżyć się do tych dzikich bestii.

Emma nie żywiła takich obaw. Po paru minutach siedziała na kucyku całkiem pewnie. Uważnie słuchała wszystkich poleceń Morgana.

Nagle Luiza dostrzegła śliczną, ciemnowłosą dziewczynę idącą w ich kierunku. Od razu rozpoznała w niej towarzyszkę Morgana z restauracji.

— To jest Annabel. Pomaga mi przy koniach. Czy mogłabyś zabrać Emmę na przejażdżkę po polu, Anno? — zapytał Morgan.

— Pa, mamusiu! W oczach Emmy malowało się szczęście.

Luiza uśmiechnęła się i pomachała córce.

— Uwielbia to!

— Ty też będziesz. Chodź. — Morgan wszedł do jednego z boksów.
— Wejdz ze mną, proszę.

Podobał się jej unoszący się zapach: mieszanka rozgrzanej skóry i siana. Z lękiem spoglądała na stojącego przed nią wielkiego, siwego konia i bała się zbliżyć do niego.

— To jest Shandy. Chcę, żebyś go wyprowadziła. Luiza spojrzała na niego z przestachem. Po chwili milczenia, Morgan zaczął spokojnie tłumaczyć, jak należy podejść do konia, aby go nie wystraszyć. W końcu rzekł:

— Trzymaj prawą rękę blisko wędzidła, lejce w drugiej, o to chodzi... delikatnie i swobodnie...

Ze zdziwieniem stwierdziła, że sama wyprowadza konia na padok. Słuchała dalszych instrukcji, aż wreszcie nadeszła chwila, której się obawiała najbardziej.

— Najtrudniej jest wsiąść na konia — powiedział, po czym zademonstrował, jak należy to robić. Siedząc prosto w siodle, uśmiechnął się do niej. — W porządku?

Pomyślała, że skoro inni to potrafią, to i ona może się tego nauczyć.

Trzymając się siodła, z lewą nogą w strzemieniu, wykonała dwa

małe podskoki i dosiadła Shandy'ego. Leżała na końskim grzbiecie z rękoma wyciągniętymi przed siebie i nogami wyprostowanymi w przeciwną stronę. Trzymała się kurczowo konia.

— Pomóż mi! — wrzasnęła przeraźliwie. Dojrzała w jego oczach isierkę rozbawienia. Skomentował oschle:

— No cóż. Nigdy dotąd nie widziałem, żeby ktoś wsiadał w ten sposób na konia.

Zacisnęła zęby. Z trudem przyjęła chwiejną, pionową pozycję, odszukała stopami strzemiona. Usiadła prosto, zdmuchnęła z oczu kosmyk jasnych włosów i spojrzała z góry.

— W porządku?

— Nadajesz się!

Odzwajemniła uśmiech. Nagle poczuła się dobrze. Odzyskała pewność siebie. To nie było takie straszne, jak sobie wyobrażała. Wprostowała plecy.

— No, to co teraz robimy?

— Zejdz i wsiądź ponownie. Tym razem bez błaznowania.

Uśmiech zniknął z jej twarzy. Uznała tę złośliwą uwagę za niestosowną. Przrzekła sobie, że pokaże mu, na co ją stać.

Wielokrotnie dosiadła konia. Przerwała w momencie, gdy Morgan był z niej zadowolony. Teraz polecił jej skłonić Shandy'ego do obejścia padoku.

— Na miłość boską! Pokaż mu, że jesteś szefem! — Morgan zmarszczył brwi.

— Staram się!

— Siedź prosto. Odpreż się — nakazał.

— Nie mogę.

— Oczywiście, że możesz. I nie dawaj mu poznać, że się go boisz.

— Nie daję.

— Ściągnij delikatnie prawy lejc... trzymaj się blisko ogrodzenia...

Cokolwiek Luiza robiła, Shandy szedł swoją drogą, nudząc się i skubiąc trawę. Morgan stracił cierpliwość.

Podniesionym głosem wydawał kolejne polecenia.

„To moja ostatnia lekcja z nim!” — powiedziała sobie.

Kiedy zsiadła z konia, czuła, że nogi uginają się pod nią. Wydawało jej się, że od początku treningu upłynęło kilka godzin. Zniosła siodło Shandy'ego do pomieszczenia na uprząż. Po chwili pojawił się tam Morgan:

— Bardzo dobrze sobie radziłaś — powiedział łagodnym głosem.

Podniosła na niego zdziwione spojrzenie.

— Szybko się uczysz, a przede wszystkim nie masz złych nawyków. W przyszłości będziesz jeździć jak prawdziwa amazonka, jeżeli będziesz wytrwale trenować.

Wiedziała, że powiedział to szczerze. Odczuła nagły przyływ dumy.

— Jestem gotowa dalej ćwiczyć — odpowiedziała zdecydowanie.

Morgan stanął przed nią, nie miał jednak zamiaru przesunąć się dalej.

— Nie denerwujesz się, prawda? — przemówił niskim, głębokim głosem. Pochylił się do przodu i oparł dłonie na stole, otaczając Luizę swymi potężnymi ramionami, lecz jej nie dotykając. — Prawda? — powtórzył miękko.

Wiedziała o co mu chodzi. Nie była aż taka naiwna. Powinna zrobić jakąś niefrasobliwą uwagę i wyslizgnąć się z jego objęć. Odkryła jednak, że nie może się poruszyć. Kiedy ich ciała zbliżyły się do siebie, poczuła, że brakuje jej tchu.

Zaprzagnęła dotknąć jego silnych, męskich ramion, dotknąć jego skóry, przytulić się do niego.

Poczuła, że mężczyzna przyciąga ją bliżej. Nie opierała się mu. Jego zmysłowe usta rozchyliły się, gdy zbliżył twarz do jej twarzy.

— Morgan! — zawołała z zewnątrz Annabel. — Jesteś proszony do telefonu. To twoja żona.

Rozdział IV

— Zaraz wracam! — Morgan wydawał się być zaskoczony i zły. — Pójdę zobaczyć, jak radzi sobie Emma. — Zachowywała się tak, jakby nic się nie stało. Lecz w środku wszystko w niej wrzało. Nie mogła pogodzić się z całym tym zakłamaniem.

„Mogłam się spodziewać, że jest żonaty.”

W jego zachowaniu nie można było jednak dostrzec żadnego zdenerwowania, nawet odrobiny zakłopotania.

„A więc byłam dla niego tylko zabawką” — powiedziała do siebie i serce jej się ścisnęło.

Pomyślała, że za bardzo zaangażowała się, a jednak nie mogła to być miłość. Miłość nie przeistoczyłaby się tak szybko w nienawiść. Przycisnęła mocno dłonie do stołu w miejscu, gdzie przed chwilą Morgan wziął ją w ramiona. Zaczerwieniła się na wspomnienie pożądania, jakie przeniknęło wówczas jej ciało.

Co się z nią działo? Była taka rozsądna i zrównoważona. Nie mdlała na widok każdego atrakcyjnego faceta, który się nią zainteresował.

„Dość tego. Nie zamierzam dostarczyć mu satysfakcji ze zdobycia kolejnej kochanki” — pomyślała.

Szła przez podwórko, gdy podbiegła do niej Annabel.

— Powinna pani zobaczyć Emmę, pani Clark. Uwielbia konie, wcale się ich nie boi. Mówiła mi, że do tej pory jeździła tylko na osiołku nad morzem. Teraz poszła wziąć sobie coś do picia. Powiedziałam jej, że dziś po południu może odbyć jeszcze jedną przejażdżkę.

— O, nie... zaraz wyjeżdżamy.

— Ale Morgan mówił... no cóż.

Luiza pragnęła zapomnieć o wszystkim, co zaszło między nią a Morganem. Starła się uspokoić i nawiązać miłą rozmowę z Annabel.

— Często tu pani przychodzi?

— Jasne, że tak, szczególnie latem. Właśnie skończyłam uniwersytet i przyjechałam tu na swe ostatnie wakacje. Boże, on jest fantastyczny,

prawda? I taki hojny. Mogę tu pracować, kiedy tylko mam na to czas. Jest cudownie! — krzyknęła niemal z dziecinnym zachwytem i oddaliła się w podskokach.

Nagle Luiza poczuła się bardzo staro. Morgan ma skłonność do dziewcząt, które dopiero co skończyły szkołę. Była zła, że jej głowę zaprzatają takie myśli. Czyżby źle go zrozumiała? Przypomniała sobie spojrzenie jego ciemnych oczu. Nie, nie mogła się wtedy mylić. Była tego pewna. Nie potrafiła jednak myśleć o tym, co sama wówczas czuła.

Emma zbliżyła się do niej niezgrabnym krokiem, niosąc szklanke lemoniady w jednej ręce i słodką bułeczkę z rodzynkami w drugiej. Jej małą twarzyczkę rozjaśnił uśmiech. Dziewczynka zmarszczyła piegowaty nosek i zaczęła mówić tak szybko, że Luiza ledwo mogła ją zrozumieć.

— Jest bardzo musująca i łaskocze mnie w nos i, mamusiu, Morgan mówi, że możemy tu przyjeżdżać, kiedy tylko zechcemy, a dzisiaj po południu Annabel i ja będziemy znowu jeździć...

Luiza wiedziała, że w żaden sposób nie może jej rozczarować, mówiąc jej, że zaraz wracają do domu.

Lunch podano na świeżym powietrzu. Luiza nie miała apetytu, dopóki nie ujrzała potraw ustawionych na stole zrobionym z kolistego kawałka wiązu. Był tam świeży łosoś, kurczak na zimno, mięsiste płaty soczystej wołowiny. Luizie najbardziej smakowały sałatki, niezwykle kolorowe i bardzo delikatne. Na koniec podano truskawki ze śmietaną.

Morgan zachowywał się przez cały czas tak, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Luiza postanowiła również zachowywać się całkowicie naturalnie. Ciągłe trajkotanie Emmy pomagało jej w tym. Kiedy jednak mała udała się na krótki odpoczynek do jednego z chłodnych pokoi, znalazła się sam na sam z Morganem. Kołysząc się łagodnie na hamaku, powiedziała uprzejmie:

— Dziękuję za wyśmienity posiłek.

— Cieszę się, że ci smakował.

Znowu zamilkł. Czy nie miał jej nic do powiedzenia? Absolutnie żadnych wyjaśnień?

Rozprostował nogi, kładąc się na leżaku.

— Chcesz pójść potem popływać?

— Nie przywiozłam kostiumu kąpielowego. Ciekawa była, jak długo będą udawać przed sobą, że nic się nie stało.

— To żaden problem. W domu jest ich wiele. Wybierzesz sobie jakiś.

— Należą do twojej żony, jak przypuszczam. Początkowo nie chciała wspominać o jego żonie, pożałowała więc swoich słów.

— Tak.

Włożył ręce pod głowę i zamknął oczy. Najwyraźniej unikał tego tematu.

— Nie mówiłeś, że jesteś żonaty.

— Nie mówiłem też, że nie jestem.

— Powiedziałeś, że mieszkasz sam.

— Mieszkam. Ona jest za granicą — wycedził.

— Ach, rozumiem. Więc według ciebie wszystko jest w porządku, tak?

— O co ci, do licha, chodzi? Zaprosiłem cię na jeden dzień...

— Wiesz, o czym mówię, Morgan? — krzyknęła, wstając z fotela.

Usiadł na leżaku i utkwiał w niej wzrok.

— Nie stało się nic, czego nie pragnęłaś.

— Och! Jesteś tak bardzo pewny siebie, prawda? Czy przyszło ci kiedyś do głowy, że ja...

— Jesteś prawdziwą kobietą, Luizy — rzekł śpiewnie, ani na moment nie spuszczać z niej oczu. — Zaryzykuję stwierdzenie, że upłynęło bardzo wiele czasu od chwili, gdy ostatni raz byłaś z mężczyzną w łóżku.

— A ty myślałeś, że jesteś właśnie tym mężczyzną, na którego czekałam, tak? Jaka szkoda, że nam przeszkodziło.

Pomyśl, jaką mogliśmy mieć zabawę, korzystając z nieobecności twojej żony.

— Dowiedzą się o tym wszyscy w kuchni, jeżeli nie ściszysz głosu — rzekł oschle.

— Och, dlaczego teraz mamy się z tym kryć? Podniosła się gwałtownie.

— Siadaj. Opowiem ci o niej... siadaj!

— Nie odzywaj się tak do mnie. Nie jestem jedną z twoich kobiet!

Oddaliła się szybkim krokiem. Spodziewała się, że pójdzie za nią, kiedy jednak obejrzała się przez ramię, zobaczyła go idącego w stronę domu.

Wkrótce znalazła się w zacisznym zagajniku. Przyznała się przed sobą: pragnęła go.

Szła ścieżką, która zaprowadziła ją na skraj urwiska. Spojrzała w dół. Poczowała zapach muszli.

Była oczarowana widokiem zatoki. Urwiska porośnięte były sosnowym lasem. To było cudowne miejsce. Takie spokojne. Na szczęście nie istniały żadne plany zbudowania tu przystani jachtowej.

Wracając do domu, ujrzała Morgana biegnącego w kierunku stajni.

— To Emma! — krzyknęła Annabel, która biegła za nim.

Luiza podążyła za nimi. W rogu boksu McTavisha siedziała przerażona Emma, mocno obejmując rękoma kolana. Wielki rumak wierzgał nogami i groźnie parskał.

Morgan wślizgnął się zwinnie pomiędzy konia a Emmę. Uniósł szybko dziewczynkę i niemal rzucił ją w ramiona Luizy, która mocno przycisnęła ją do siebie.

— Nic ci się nie stało, kochanie? Nic ci nie jest?

— Ten wielki koń mnie nie lubił! — zaszlochała głośno Emma.

Annabel spojrzała na Luizę.

— Weszła tam bez niczyjej wiedzy — wyjaśniła. Wreszcie, gdy Emma uspokoiła się, Luiza zapytała łagodnie:

— Co ty tu robiłaś? Miałaś odpoczywać w domu.

— Chciałam mu to dać. — Emma otworzyła dłoń i pokazała wilgotną, lepką grudkę cukru.

Po chwili pojawił się Morgan. Annabel podbiegła do niego:

— Skaleczyłeś się! Och, twoje czoło krwawi!

Jego oczy napotkały wzrok Luizy, która tak bardzo chciała podziękować mu za wydostanie Emmy z niebezpieczeństwa.

Mężczyzna podszedł do dziecka i zapytał:

— Zrobił ci krzywdę?

Kiedy Emma potrząsnęła głową, ciągnął dalej surowo:

— Nigdy więcej nie zbliżaj się sama do nieznanego zwierzęcia.

Dolna warga Emmy zadrżała. Popatrzyła na Morgana.

— On ma w sobie złe moce — powiedziała, naśladując głos Doreen.

Zapanowało milczenie. Wszyscy oniemieli z wrażenia.

— Nie mów tak, Emmo! Absolutny nonsens! Nie ma czegoś takiego, jak złe moce.

— Są w żywych trupach. — Emma wydeła wargi i zaczęła badawczo przyglądać się grudce cukru, którą wciąż trzymała w ręce.

— Chodź. Zabiorę cię pod prysznic... — zaczęła Luiza stanowczo.

— Chcę iść z Annabel!

— No to chodź, brudasku — rzekła Annabel i wzięła ją za rękę.

Luiza odprowadziła je wzrokiem.

— Nie martw się o nią — powiedział cicho Morgan.

— Czy jestem złą matką? — zapytała ze smutkiem w głosie.

— Luizo...

— Ostrzegałeś mnie kiedyś, że Doreen może mieć zły wpływ na Emmę, a ja zignorowałam tę uwagę.

— Obcy widzą czasem więcej niż swoi.

— Co chcesz przez to powiedzieć? I dlaczego zaprosiłeś nas tu dzisiaj? Czego ode mnie chcesz, Morgan? — W jej głosie pobrzmiwało zniecierpliwienie. Czowała się zmęczona. Nerwy odmówiły jej posłuszeństwa.

Morgan starał się ją uspokoić. Mówił łagodnym głosem:

— Niestety, nie mogę udzielić odpowiedzi na wszystkie twoje pytania. Chcę jednak, abyś wiedziała, że zaprosiłem cię tutaj, gdyż sądzę, że im mniej czasu spędzasz na Księżycowym Wzgórzu, tym lepiej dla ciebie. Jesteś tam narażona na niebezpieczeństwo.

Uważasz, że powinnam sprzedać dom, prawda?

— Szczerze mówiąc, tak.

— Nie ulegnę naciskom, Morgan.

— Ten dom wymaga gruntownego remontu. Czy podołasz temu wszystkiemu?

— Myślę, że dam sobie radę.

— Zimą będziesz odcięta od świata przez zasy śnieżne.

— Za to latem jest tam przepięknie — nie poddawała się.

— Równie pięknie jest w Dartmoor — dodał. Kiedy dotarli do domu i weszli do słonecznego hallu, Luiza powiedziała:

— Nie podziękowałam jeszcze za uratowanie Emmy. Jestem ci głęboko wdzięczna.

— Czułem się odpowiedzialny za to, co się stało.

— Ostrzegalesz Emmę, żeby go nie dotykała. Jest taka samowolna.

— Cecha rodzinna?

Nalał jej filiżankę herbaty z lśniącego srebrnego imbryczka. Zignorowała jego ostatnią uwagę i rzekła spokojnie:

— Niemniej jestem ci wdzięczna.

— Ale nie za to, co zaszło w stajni, co? Szkoda. Zapraszając cię tu, myślałem również o tym, jak miło byłoby wziąć cię w ramiona — powiedział, przyglądając się jej uważnie.

Poczuła, że kubek, który trzyma w dłoni drży.

— Bądź teraz ze mną szczerą i powiedz mi, co cię trapi.

— Nic — skłamała.

— Masz mi za złe, że nie powiedziałem ci, że jestem żonaty, prawda?

Milczała. Ciągnął dalej:

— Wydaje mi się jednak, że martwi cię co innego. Wyglądałaś na

bardzo zatroskaną, kiedy widziałem cię w „Spichlerzu”

— Nie zdawałam sobie sprawy, że jestem tak bacznie obserwowana.

— Dlaczego nie? Jesteś uczciwą, inteligentną bardzo pociągającą kobietą!

— Większość kobiet jest dla ciebie pociągająca.

— Nie powiedziałbym „większość” — zażartował. Luiza nie widziała w tym jednak nic zabawnego.

Odstawiła pospiesznie filiżankę, mówiąc:

— Pójdę zobaczyć, jak się ma Emma.

— Nie musisz wyjeżdżać. Kazałem przygotować dla ciebie pokój.

— Zatrzymał się przy oszklonych drzwiach i dodał: — W rzeczywistości nie lubię odgrywać roli musicalowych kochanków.

Po jego odejściu wróciła myślą do tego, co o niej powiedział. „Uczciwa! — pomyślała. — Ciekawa jestem, jaka byłaby jego reakcja, gdybym powiedziała mu, że przywłaszczyłam sobie Księżycowe Wzgórze podstępem.”

Była pewna, że Seth nigdy nie zostawiłby jej domu, gdyby znał prawdę o niej. Ona sama by jej nie знаła, gdyby nie przyjechała Hilda. Ciotka, zapewniając o dotrzymane tajemnicy, przypomniała Luizie pewną scenę z dzieciństwa. Któregoś dnia babka Jean, powiedziała po kłótni z Sethem:

— Dzięki Bogu w żyłach Luizy nie płynie ta sama krew, co w żyłach tego starego diabła.

Luiza była wtedy za mała, aby zrozumieć to, co usłyszała. Teraz domyślała się, że jej ojciec nie był wcale jej ojcem.

Wolałaby tego nie wiedzieć.

O, gdyby tak mogła zapomnieć o tym.

Z zamyślenia wyrwał ją płacz Emmy:

— Chcę do mamusi!

Luiza szybko pobiegła na górę.

— Niedobrze jej — zwróciła się do Luizy Annabel.

Morgan był na przejazdźce i nie można go było znaleźć, więc Luiza

zostawiła wiadomość, w której wyjaśniła, dlaczego musiały tak nagle wyjechać.

W porównaniu ze Staithes Księżycowe Wzgórze wydawało się odludne i ponure. Położyła Emmę do łóżka. Dziewczynka zjadła z całą pewnością za dużo, poza tym miała zbyt wiele wrażeń jak na jeden dzień, i to było przyczyną jej złego samopoczucia.

Zadzwoił telefon. Serce Luizy zaczęło bić szybciej. Nie był to jednak Morgan.

— Czy to pani Clark? Dzwonię w sprawie ogłoszenia. Czy pani już kogoś zatrudniła? — Kobięcy głos brzmiał dystyngowanie.

— Nie, jeszcze nie. Czekam na listy...

— Tak, wiem, prosiła pani o zgłoszenia pisemne i przykro mi, że dzwonię, ale dopiero teraz przeczytałam ogłoszenie i chciałam skontaktować się z panią natychmiast. To wprost wymarzona posada dla mnie. Tak bardzo chcę wrócić na wieś. Kiedy mogłabym się z panią spotkać? Zapewniam, że mam dobre referencje.

— Chętnie spotkam się z panią. Mam małą córeczkę. Czy...?

— Ach, uwielbiam dzieci!

— A pani nazwisko? — spytała Luiza.

W słuchawce zapanowała krótkie milczenie, po czym kobieta przemówiła:

— Panna Freda Jones.

Następnego dnia Freda Jones przyjechała na Księżycowe Wzgórze. Miała trzydzieści osiem lat, wyglądała jednak nieco starzej. Luiza ze zdziwieniem przyglądała się jej siwym, rzadkim włosom zaczesanym w kok. Kiedy spojrzała na twarz tej kobiety przeraziła się.

Skóra była pofałdowana, a rysy twarzy z jednej strony zupełnie zniekształcone.

— Wejdzie pani do środka? — zapytała grzecznie Luiza.

Freda Jones była dziwnie wzruszona. Podążyła za Luizą do salonu, rozglądając się ciekawie dookoła, po czym zaczęła nerwowo manipulować przy torbce.

„Coś z nią nie w porządku” — pomyślała Luiza, czytając jej referencje, które rzeczywiście były znakomite. Panna Jones wpatrywała się w nią uparcie.

Luiza odezwała się łagodnie:

— Nie wiem, czy to będzie pani odpowiadać. Pracowała pani w kilku bardzo dobrych domach. W porównaniu z Księżycowym Wzgórzem...

— To jest dokładnie to, czego pragnę! Dokładnie! — powiedziała. Nagle zaczęła się chwiać. Luiza chwyciła ją za rękę.

— Pani jest chora.

— Nie... nie, jestem naprawdę bardzo silną osobą. Spieszyłam się dziś rano tak bardzo, że nie zdążyłam zjeść śniadania.

— Proszę usiąść.

Luiza pospieszyła do kuchni, aby przygotować posiłek: herbatę i trochę grzanek. „Jak u licha mogę zatrudnić kogoś tak dziwnego?” — zadała sobie pytanie, parząc herbatę. — „A jeśli okaże się, że jest naprawdę chora? Nie mogłaby opiekować się Emmą ani domem. Musi jej bardzo zależeć na tej posiadzie. Byłabym bez serca...”

Wracała z tacą do bawialni, kiedy usłyszała głos Emmy.

— Co się stało z twoją twarzą?

Luiza wstrzymała oddech. Po chwili usłyszała, jak panna Jones odpowiada miękko:

— Uległam poparzeniu. Miałam kiedyś poważny wypadek.

— Ja też miałam wypadek. Wielki koń próbował mnie zabić — odrzekła Emma z wielką powagą.

Luiza postawiła tacę na małym stoliku obok panny Jones i delikatnie położyła dłonie na ramionach Emmy.

— Obawiam się, że to ty go zdenerwowałeś. Nie był przyzwyczajony do dzieci.

— Był opętany przez diabła! — rzekła głośno Emma, spodziewając się, że jej słowa wywrą na nieznanym wielkie wrażenie.

Luiza prędko spojrzała na Fredę Jones. Panna Jones momentalnie

zorientowała się w sytuacji i mówiła dalej, jak gdyby nie powiedziano niczego niezwykłego.

— Powiedziałam coś! — zaczęła emfaticznie Emma.

— Odejdź, kochanie. Chcę porozmawiać z panną Jones.

Emma wyduła wargi i wyszła z pokoju.

— Moja ostatnia gospodyni była bardzo przesądna i Emma nauczyła się od niej kilku powiedzonek. Pani nie jest przesądna, prawda?

— Myślę, że każdy jest w jakimś stopniu przesądny, ale zapewniam panią, że nigdy nie odważyłabym się wpajać swoich przekonań małemu dziecku.

— Doreen, moja poprzednia gospodyni, przysięgała, że w domu straszy. Właśnie dlatego odeszła. Powinna pani o tym wiedzieć. Również ta okolica nie jest taka spokojna, na jaką wygląda. Dzieją się tu dziwne rzeczy.

— Niełatwo mnie przestraszyć, pani Clark.

— Proszę coś zjeść!

— Wiem, że zrobiłam niemądrze, wychodząc bez śniadania, ale naprawdę byłam taka poddenerwowana przyjazdem tutaj.

— Bardzo pani zależy na tej pracy?

— Nie mam teraz innej posady. — Freda popijała herbatę małymi łykami.

Na zakończenie pogawędki, Luiza oświadczyła jej, że skontaktuje się z nią później. Po czym wyszły obie na dziedziniec. Oczy Fredy łapczywie chłoneły widok ogrodu. Kiedy zorientowała się, że obserwuje ją Luiza, wyjaśniła:

— Takie ogrody lubię najbardziej. Wokół niektórych domów są trawniki przypominające teren do gry. Odnosi się wrażenie, że powinny się tam znajdować tabliczki zabraniające wstępu na nie. I na kwietnikach nie ma żadnych chwastów. A dzikie kwiaty są takie urocze.

Luiza zaśmiała się krótko.

— Zobaczysz ich pani tutaj wiele. Robię porządek w jednym końcu

ogrodu, a one tymczasem wyrastają na drugim końcu.

— Wiem, czerwona firletka...

— Ależ tak, jest ich mnóstwo. — Luiza była zaskoczona jej spostrzegawczością.

— Widziałam je, kiedy przyjechałam.

— Nie wiem, jak długo ten teren pozostanie nienaruszony. Mówi się o zbudowaniu tu przystani jachtowej.

— Ależ to byłoby straszne! Zniszczono by środowisko naturalne.

Chodzi o turystykę. Niektórzy uważają, że powinnam sprzedać Księżycowe Wzgórze. Jest człowiek, który chce je kupić. Proponuje wysoką cenę.

— Widocznie widzi w tym okazję do osiągnięcia dużych zysków.

— Kto wie? Jest przyzwyczajony do prowadzenia interesów. Gotów jest podjąć ryzyko związane z całym tym przedsięwzięciem. W każdej bowiem chwili rada może podjąć decyzję o zbudowaniu tej przystani w innym miejscu. Dla mnie pieniądze nie są najważniejsze. Czuć się bezpieczna, mieć dom, miejsce, do którego się przynależy, tego pragnę najbardziej.

— A to jest uroczy, stary dom — powiedziała z rozrzewnieniem Freda.

— Będzie. Planuję wprowadzić tu wiele zmian... — zakreśliła ręką wielki łuk. — A tu, w ogrodzie... — Przerwała, uświadamiając sobie, że dała się ponieść swej fantazji.

— Ma pani wielkie szczęście, pani Clark. Ja również nigdy nie pozbyłabym się tego domu.

— Mamusiu! Mamusiu! — Emma przybiegła, pędząc co sił w nogach i wpadła w ramiona Luizy. — Wujek Brian... On leży w żywopłocie!

Szybko pobiegły we wskazanym przez Emmę kierunku. Brian siedział na skraju trawnika z twarzą szarą jak popiół, oddychając ciężko i trzymając się kurczowo za pierś. Niósł dla Luizy tacę jajek, które teraz leżały rozbite wokół niego.

— Boli! — udało mu się wybełkotać.

Freda spokojnym głosem zwróciła się do Emmy:

— Pójdę zadzwonić. Gdzie jest telefon?

Nadjechała karetka. Luiza delikatnie podtrzymała Briana i uspokajała go.

Kiedy samochód odjeżdżał, Luiza udała się do domu.

— Mam nadzieję, że nie będzie pani na mnie zła, pani Clark. Zaparzyłam herbatę.

Emma pokazała mi, gdzie stoją naczynia i pudełko z herbatą.

— Tak. Pokazałam wszystko. — Emma skinęła głową.

— Widzę, że świetnie pani sobie radzi, panno Jones.

Kobieta uśmiechnęła się. Luiza odniosła wrażenie, że już wcześniej gdzieś ten uśmiech widziała.

— Nieźle nas wystraszyłeś, Brian. — Luiza usiadła obok na łóżku.

— Sam byłem przerażony.

— Lubisz winogrona? — Położyła owoce na szafce . obok.

— To wina tego cholernego psa, który dobrał się do moich owiec. Od tamtego czasu nie mogę przyjść do siebie.

— Musisz przestać o tym myśleć, Brian. Musisz wydobrzeć i...

— Łatwo powiedzieć. Nie mogę o tym zapomnieć.

— Wiem — odpowiedziała ze współczuciem. — Czy chciałbyś, abym przyniosła ci jakieś czasopisma?

— Facet, który leży obok mnie, jest po dwóch zawałach. On też miał wiele kłopotów.

— No, wreszcie cię znalazłem! Brian spojrział w kierunku drzwi.

— Pan Khol?! Nie spodziewałem się pana. Khol przystawił krzesło.

Po chwili na salę weszła pani Khol, niosąc naręczę goździków.

— Witaj moja droga — rzekła do Luizy.

— Proszę usiąść!

— Więc jak to się stało, że się tu znalazłeś? — powtórzył George.

— Panie Khol, powiem panu jedno. To mi się więcej nie przydarzy. Nie dopuszczę do tego. Moja w tym głowa.

— Dobrze. Bardzo rozsądnie. Już czas, abys przestał tak ciężko pracować.

— Nie mówię o przemęczeniu! Mówię o wykończeniu tego cholernego psa!

Luiza była zaniepokojona wzburzeniem Briana.

— No cóż, nikt z nas nie staje się ani trochę młodszy. Przychodzi moment, kiedy trzeba zacząć dbać o własne zdrowie... — przestrzegał George.

— Pouczasz mnie, a sam cały pochłonięty jesteś pracą w radzie i, o ile się nie mylę, jesteś starszy ode mnie.

— Za bardzo się poświęca. Zawsze mu to mówię. — Molly spojrzała czule na swego męża.

— Nie wygaduj takich bzdur — mruknął do niej George.

Zaczerwieniła się.

Luiza poczuła ulgę, kiedy skończyła się pora odwiedzin. Była pewna, że Kholowie przyszli z najlepszymi intencjami, lecz między nimi a Brianem istniało coś, co nie przyczyniało się do stworzenia spokojnej atmosfery.

— Odwiedź mnie znowu — szepnął jej do ucha Brian.

George zmierzał do samochodu, a Molly zatrzymała się, aby porozmawiać z Luizą.

— Jak się ma kochana, mała Emma?

— Kochana Emma jest ostatnio bardzo niesforna. Mam nadzieję, że to tylko reakcja na przeprowadzkę i że wkrótce jej to minie.

— Przyjedźcie któregoś dnia do nas. Serdecznie zapraszam. Sprawicie mi dużą radość. W sąsiedztwie mieszkają dwa słodkie, małe brzdące. Emma mogłaby się z nimi pobawić. Często do mnie przychodzą. My... wiesz, nigdy nie mieliśmy własnych dzieci. — Pochyliła głowę w stronę Luizy i rzekła niemal błagalnie: — Przyjdź we wtorek na herbatę. Będę wtedy sama w domu.

Nie było to jedyne zaproszenie, jakie Luiza otrzymała od Kholów. Wkrótce potem nadeszła kartka ozdobiona złotym liściem

zapraszająca ją na przyjęcie. Luiza przyjęła zaproszenie.

Mieszkali w imponującym, starym dworze. W pokojach stały kosztowne antyczne meble. Goście rozproszyli się po całym domu, nie wyłączając biblioteki, w której uwagę przykuwały rzędy książek oprawnych w skórę.

Molly w sukni ze złotej lamy powitała Luizę, która miała na sobie mglisto-błękitną sukienkę podkreślającą jej zgrabną sylwetkę.

— Czego się napijesz, moja droga?

Luiza, zmieszawszy się z tłumem innych gości, usłyszała nagle znajomy męski głos.

— Dobry wieczór.

To John Quince spoglądał na nią.

— Słyszałem, co zdarzyło się na Księżycowym Wzgórzu. Przykro mi.

— Na szczęście Emma niczego nie widziała. Luiza powtarzała sobie, że John nie może mieć z tym nic wspólnego, lecz mimo to przyłapała się na tym, że przypatruje mu się badawczo, poszukując choćby drgnięcia powieki, które mogłoby go zdradzić.

— Czy domyśla się pani, kto to mógł zrobić? — zapytał.

— Niestety nie. Komuś się zdaje, że można mnie łatwo przestraszyć. Ale ten ktoś się myli.

Utkwiwszy w niej na moment wzrok, Quince powiedział:

— Proszę posłuchać, pani Clark. Staralem się o pani dom, a pani odrzuciła moją ofertę, ale na miły Bóg, czy sądzi pani, że mógłbym w tak podły sposób dążyć do osiągnięcia celu?

— Nie... nie, nie sędzę. — Westchnęła. — Jestem jeszcze zdenerwowana tym wszystkim.

— Sposób, w jaki pani na mnie patrzyła...

— Przepraszam. Ostatnie wydarzenia sprawiły, że nie jestem już pewna, komu ufać.

W tym momencie do sali wszedł Morgan. Wyglądał bardzo interesująco.

Miał na sobie ciemny elegancki garnitur i lśniącą, białą koszulę.

Wiele z zebranych na przyjęciu dam, przyglądało mu się ukradkiem. Nie chcąc być do nich podobną, odwróciła od niego wzrok. Nie była jednak w stanie opanować wewnętrznego drżenia.

— No, no, moja droga, co to ma znaczyć? Pusta szklanka? — George Khol objął ją ramieniem i poprowadził do barku.

Poprosiła o sok ananasowy. Napełniwszy jej szklankę, nie powrócił jednak do przyjaciół, lecz zaczął opowiadać jej o swojej pracy w radzie.

— Będąc radnym, na pewno wiesz wiele na temat rozwoju budownictwa. Gdyby ktoś kupił grunt rolny i odsprzedał go potem firmie budowlanej, czy zarobiłby dużo pieniędzy? — Gdy zadała to pytanie spojrzała na drugą stronę sali, gdzie John Quince rozmawiał teraz z Morganem. George zauważył spojrzenie.

— Miliony, moja droga. To bardzo dobry interes. Dlaczego pytasz?

— Słyszałam o propozycji budowy przystani jachtowej. Gdyby została zbudowana w pobliżu Księżycowego Wzgórza, moja ziemia nabrałaby sporej wartości, prawda?

— Od lat mówi się o budowie przystani. To przyniosłoby duże zyski pewnej lokalnej firmie budowlanej.

— Myślałam, że w takich sytuacjach ogłasza się przetarg?

— W Hengeford pilnujemy swego. Ale cała ta budowa to jeszcze nic pewnego. Zamki na lodzie, moja droga, zamki na lodzie. Chodźmy do ogrodu. Chyba rozpoczęły się tam tańce.

Tańczyli walca pod iskrzącymi się, barwnymi światłami rozwieszonymi ponad obszernym patio.

— Mam nadzieję, że wyrostki nie sprawiały ci więcej kłopotów na Księżycowym Wzgórzu.

— Wyrostki? Kogo masz na myśli?

— Zbiry z miasta. Jestem pewien, że to ich sprawka.

— Słyszałam, że to mogło stanowić część jakiegoś rytuału czarnej magii. Wtedy była przecież noc świętojańska.

- Księżycowe Wzgórze pełne jest tajemnic. Przypuszczam, że wszystko może się tam zdarzyć. Pamiętaj jednak, Luizoo, jeśli coś cię zaniepokoi, przyjdź i porozmawiaj o tym z Molly i ze mną.

— Jesteś bardzo uprzejmy.

— Cieszę się, że przyszedł dziś wieczorem. Powinnaś częściej wychodzić z domu.

— Taki właśnie mam zamiar. Nasza wicedyrektorka sprzedaje małą motorówkę. Zastanawiam się, czy jej nie kupić. Jest w dobrym stanie. Będę miała sposobność zabierać Emmę...

— No cóż, nie zapomnijcie tylko o kamizelkach ratunkowych... .

— Mogę przeszkodzić? — zapytał donośnym głosem Morgan.

— Pewnie chcesz zatańczyć z najpiękniejszą dziewczyną — powiedział George uśmiechając się. — Luizoo, nie poddałbym mu się tak łatwo, gdybym znowu był w jego wieku. Nie poznałabyś mnie wtedy. Byłem szczupły, zwinny i bardzo przystojny. Bez tego wszystkiego. — Poklepał się po wydatnym brzuchu.

Morgan objął Luizę ramieniem.

— Przerwałem wam rozmowę, prawda?

— Nie, mówiłam tylko George'owi, że zastanawiam się nad kupnem małej łodzi.

— Jesteś obeznana z morzem? Jeśli chcesz poznać te wody, to wypłynij najpierw ze mną.

— Dziękuję. Zastanowię się jeszcze — odparła cicho.

Poczuła, jak jego ramię mocno ją otacza.

— Nie trzymaj mnie tak mocno, proszę. — Próbowała się nieco uwolnić.

— Kiedyś ci to nie przeszkadzało. Przytulił ją jeszcze bardziej.

— Chciałabym usiąść...

— Muszę ci coś powiedzieć. Słyszałem, że pies został wpuszczony rozmyślnie na farmę Briana, żeby zmasakrować owce. Wcześniej tylko podejrzewałem, ale teraz jestem pewien, że ktoś chce was zmusić do opuszczenia posiadłości. Wyjedź, Luizoo.

Nie narażaj się na niebezpieczeństwo. Zaproponowano ci dobrą cenę...

— Dzięki za troskę, ale naprawdę chciałabym, żebyś zostawił mnie w spokoju. Księżycowe Wzgórze jest moim domem. Z każdym dniem podoba mi się tam coraz bardziej. Nikt nie zmusi mnie do wyjazdu.

— Co z Emmą? Pomyślałaś o niej? Czy jej bezpieczeństwo nie powinno być dla ciebie ważniejsze?

— Jak śmiesz?! Oczywiście, że biorę pod uwagę bezpieczeństwo Emmy. Nareszcie mieszka gdzieś, gdzie może zachowywać się swobodnie, nie przeszkadzając nikomu. To bardzo ważne dla dziecka. Poza tym ten dom zawsze należał do naszej rodziny, w przyszłości odziedziczy go właśnie Emma.

— Czy nie chodzi ci przypadkiem tylko o to, żeby być właścicielką starego dworu?

Ogarnęła ją nieopisana złość. Jakim prawem ten mężczyzna wtrąca się w jej prywatne życie?

— Ty, oczywiście, jesteś zwolennikiem budowy przystani, prawda? Czy dlatego starasz się mnie skłonić do wyjazdu z Księżycowego Wzgórza?

Spojrzał na nią groźnie. Wytrzymała jego spojrzenie, ale jej serce łomotało. Gwałtownie odwróciła się i zostawiła go samego.

Chwycił ją za ramię. Surowa twarz wyrażała gniew.

— Czy ty nie rozumiesz, że powiedziałem to wszystko dla twego dobra! Zresztą, zrobisz, co będziesz uważała za słuszne. Mnie nie będzie to już interesowało!

Zwolnił uścisk i odszedł.

Noc była bardzo gorąca i Luiza nie mogła zasnąć. Gdzieś koło drugiej usłyszała hałas na dole. Usiadła i nasłuchiwała. Po chwili wstała i zajrzała do pokoju Emmy, po czym zeszła po cichu na dół ze strzelbą dziadka pod pachą. Było ciemno, lecz wyraźnie słyszała, że ktoś chodzi na dole.

Włączyła światło w kuchni i weszła cicho do pomywalni.

Drzwi piwnicy były otwarte. Odciągnęła kurek strzelby. Po plecach spłynęła jej strużka potu.

Podeszła na palcach do otwartych drzwi i zamarła w bezruchu.

Freda, z rozpuszczonymi włosami, ubrana w białą koszulę nocną, dreptała po piwnicy, wlokąc za sobą szmacianą lalkę.

RS

Rozdział V

Odłożyła strzelbę. Stała, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Freda chodziła w kółko. Jej twarz była blada i pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu.

Zdała sobie sprawę, że Freda chodzi we śnie. Jej gospodyni jest lunaticzką!

Otuliła się szalem i zeszła do piwnicy. Zbliżyła się do Fredy i delikatnie skierowała ją w stronę schodów. Freda posłusznie szła na górę. Gdy leżała już w łóżku, wciąż trzymając szmacianą lalkę, Luiza przyglądała się jej przez chwilę. Ta kobieta musi czuć się bardzo samotna.

Wróciła do sypialni i zaczęła zastanawiać się nad tym, co zaszło przed chwilą. Dlaczego Freda zeszła właśnie do piwnicy? I czy bezpiecznie jest zostawiać z nią Emmę?

Najważniejsze, że do domu nie wkradł się obcy. A tego przecież bała się najbardziej. „Ciekawa jestem, czy użyłabym wtedy strzelby?”

Poczuła się bardzo senna. Powieki stały się ciężkie, a myśli zaczęły się plątać.

„Morgan bardzo chce, żebym wyjechała. Czy naprawdę chce mojego dobra? Żałuję, że powiedziałam to, co powiedziałam... ale z drugiej strony on nie powinien był mówić... Ciekawe, czy jest szczęśliwy w małżeństwie. Trudno powiedzieć kto jest, a kto nie. Wystarczy spojrzeć na Georga i Molly... na moje małżeństwo...”

Zamknęła oczy.

Obudziła się, kiedy Freda zapukała do drzwi. — Dzień dobry. Jest uroczy poranek. Co przygotować pani na śniadanie?

— Jak się pani czuje? — zamruczała sennie Luiza, przyglądając rozczochrane włosy.

— Świetnie. A pani?

Przechodząc obok pokoju Fredy, Luiza zauważyła, że łóżko zostało starannie posłane, a lalka zniknęła. Przy śniadaniu stało się jasne, że

Freda nie ma pojęcia, co wydarzyło się ubiegłej nocy.

— Idę do kościoła. Ktoś chce iść ze mną? — spytała Luiza. Wydawało jej się, że twarz Fredy przybrała nagle pochmurny wyraz.

— Czy opowiesz Bogu o małym baranku, który miał obciętą głowę? — zapytała piskliwym głosem Emma.

Zapanowało milczenie, które wreszcie przerwała Luiza:

— Kto ci o tym powiedział, Emmo?

— Wiem. Wszystkie dzieci wiedzą.

Luiza zagryzła wargę. Tak bardzo starała się uchronić Emmę przed przykrymi doświadczeniami. A może Doreen miała rację, mówiąc, że nie należy być zbyt opiekuńczym dla dziecka.

— Nie mogę iść do kościoła, mamusi. Mam kaszel.

— Mogę zostać z Emmą — mruknęła Freda.

Po nabożeństwie Luiza wybrała się na spacer nad morze. Usiadła na ławce i rozglądała się dokoła. Na plaży stary rybak krzątał się przy małej łodzi. Morze było wyjątkowo spokojne. Panująca wokół cisza pozwoliła się Luizie odprężyć.

Nagle jakiś wrzask poderwał ją na nogi. Grupa młodzików tłoczyła się wokół teleskopu, przez który turyści mogli obserwować stały ląd Walii.

Miała właśnie odejść, kiedy jeden z wyrostków zaczął ciskać kamieniami w powietrze.

Wkrótce i inni przyłączyli się do tej „zabawy”. Starali się trafić w mewy. Luiza była przerażona, zrobiła krok w ich kierunku, w tym samym czasie stary rybak wrzasnął:

— Przestańcie!

— Zostawcie ptaki w spokoju! — zawołał mężczyzna, który do tej pory czytał spokojnie gazetę.

— Jakie ptaki? Nie robimy ci krzywdy, prawda, kotku? — Wysoki młodzieniec spojrzał zaczepnie na Luizę.

— Dlaczego zachowujecie się jak smarkacze? — wykrzyknęła gniewnie.

— Oooo...!— Młodzieniec przysunął się bliżej, udając zawstydzonego.

Jego kompani podążyli za nim.

— Halo, pani Clark! — zawołał ktoś.

Po drugiej stronie ulicy stał John Quince, a niedaleko za nim policyjny samochód.

— Wracajcie tam, skąd przyszliście! — Starzec pogroził młodzieńcom pięścią. Rzucili jeszcze parę kamieni, lecz dostrzegłszy policję, oddalili się.

— Co to wszystko miało znaczyć? — spytał John. Opowiedziała mu, co się stało, a on wzruszył ramionami.

— Jest duże bezrobocie. Niektórzy młodzi ludzie nie wiedzą, co z sobą zrobić — wyjaśnił.

Zaproponował wypicie filiżanki kawy w pobliskiej kawiarni. Luiza starała się być dla niego miła. Wtedy na przyjęciu u Kholów zrobiła mu przykrość swymi podejrzeniami. Zastanowiła się przez chwilę. Siedziała w eleganckiej kawiarni w niedzielny poranek, pozwalając sobie na kawę i ciasteczka, podczas gdy innym ledwo udawało się związać koniec z końcem...

— Muszą tu być jakieś dorywcze, letnie prace, John?

— Tak, można dostać takie zajęcie, ale jest ono tylko czasowe. Nie rozwiązuje niczego na dłuższy czas.

— Budowa przystani stworzyłaby nowe miejsca pracy, prawda? — rzekła w zamyśleniu.

— Rada rozważa to od lat. Otóż gdybym ja szukał pracy, czym prędzej wyjechałbym do Londynu.

— Nie uważam tego za najlepszy pomysł. Życie w Londynie jest bardzo męczące. Poza tym domy są tam okropnie drogie. — Przyglądała mu się; miał delikatne dłonie, nie nawykłe do ciężkiej pracy fizycznej. Połyskujący pierścień z brylantem oraz ciężki, złoty zegarek świadczyły, że interesy idą mu dobrze.

— Domy w Hengeford nabierają ceny. Moja oferta dotycząca kupna

Księżycowego Wzgórza jest wciąż aktualna. W każdej chwili jestem gotów.

— Jeśli się zdecyduje, dam panu znać — powiedziała, uśmiechając się przyjaźnie.

Podniósł filiżankę w geście pozdrowienia.

— Pani zdrowie, pani Clark. Jest pani bardzo odważną i upartą kobietą. Niewiele osób pozostałoby na Księżycowym Wzgórzu po tym, co się tam wydarzyło. Słyszała pani, zapewne, że Brian wyjeżdża?

— Brian wyjeżdża?! — powtórzyła, nie ukrywając swego zdziwienia.

— Lekarz doradził mu, aby zrezygnował z pracy na farmie.

— Ależ on tego nie zrobi!

— Mówi, że nie będzie się przyglądał, jak inni wykonują za niego pracę. — Wciąż unikał jej wzroku. — Wyjechał, żeby wszystko przemyśleć.

— Nieprawda! Pojechał do swego siostrzeńca w Cardiff, aby odzyskać tam siły i dawny spokój.

Obserwowała go uważnie, starając się dojrzeć choćby najmniejszy znak świadczący o tym, że kłamał.

Coś jednak mówiło jej, że mężczyzna mówi prawdę.

Kiedy wyszli z kawiarni, na nabrzeżu znowu panował spokój. W jednej z bocznych uliczek stał jednak nadal wóz policyjny.

Wracając do domu, minęła farmę Briana. Dlaczego nie powiedział jej o sprzedaży? Czyżby wstydził się tego, że zmienił zdanie, ponieważ wcześniej zapewniał wszystkich, że nigdy nie sprzeda farmy?

John Quince złożył mu bardzo korzystną ofertę. Brian byłby głupcem, gdyby jej nie przyjął w tych okolicznościach.

Westchnęła.

Włączyła drugi bieg i wjechała na Księżycowe Wzgórze. Na podjeździe stał samochód Molly. Usłyszała śmiech dobiegający z

lasku; to właśnie tam Emma zazwyczaj zapraszała gości. Luiza weszła do domu, aby zmienić buty.

Drzwi salonu były otwarte. Zobaczyła pomarszczoną dłoń na poręczy starego fotela jej dziadka. Oniemiała z wrażenia.

— Kto tam?

— Witaj Luizo! — George zerwał się na nogi.

Skarciła się w duchu, że tak łatwo daje się przestraszyć. George podszedł do niej, uśmiechając się promiennie.

— Wpadliśmy przypadkiem. Molly chciała dać Emmie mały prezent.

— To miło, ale nie powinna...

— Lubi mieć jakiegoś brzdąca, którego mogłaby rozpieszczać, ale zupełnie nie ma poczucia czasu. — Spojrzała niecierpliwie na zegarek.

— Poproszę Fredę, żeby przyniosła nam trochę kawy. — Była zła, że Freda jeszcze tego nie zrobiła.

George zaczepił kciuki o szelki na swym wydatnym brzuchu i zmarszczył brwi.

— Czy to ta kobieta, która nas tu wprowadziła?

Patrzyła na nas tak, jak byśmy byli przybyszami z kosmosu. Zaraz potem gdzieś zniknęła.

Zaniepokoiły ją uwagi George'a. Pragnęła, aby w jej domu wszyscy goście dobrze się czuli.

— Być może wstydziła się swego wyglądu. W młodości miała wypadek. Przeszczepiono jej skórę.

— Wydała mi się bardzo dziwna — powiedział siadając.

Niesamowicie było widzieć innego starszego mężczyznę, siedzącego w fotelu Setha. „To nie jest fotel Setha — mówiła sobie. — To jest mój fotel.” Nie potrafiła uwolnić się od dziwnego wrażenia, że wszystko w tym domu należy do jej dziadka.

Freda siedziała przy kuchennym stole, wpatrując się bezmyślnie w okno. Jej dłonie pokryte były mąką i spoczywały na brzegu brytfanny. Poderwała się nagle.

— Ach! Ach, nie słyszałam, kiedy pani weszła.

— Dobrze się pani czuje? — Luiza zmarszczyła czoło.

— T...tak — świetnie. — Kiedy wstała, żeby wytrzeć ręce, jej ruchy były gwałtowne. Jakiś pan Khol...

— Tak, właśnie się z nim widziałam. Przyszłam zrobić mu kawę.

— Ja to zrobię. — Ręce jej drżały, kiedy wsypywała do młynka ziarenka kawy.

— Fredo, czy pani...? — zaczęła Luiza, gdy do kuchni niespodziewanie wpadła Emma.

— Zobacz, co mi kupiła ciocia Molly. Kholowie zostali na kawie, którą Freda serwowała

w taki sposób, jakby oddawała im swego ostatniego pensa. George był równie szorstki, nie ukrywając swej antypatii do niej. Była zadowolona, kiedy wreszcie wstał, oznajmiając, że wracają do domu. Molly spojrzała z nadzieją na Luizę.

— Czy mogę się ciebie spodziewać na herbacie we wtorek?

— Wtorek to dzień malowania — odezwała się Emma.

— Czy nauczycielka pozwala ci zabierać obrazki do domu? Bardzo chciałabym jakiś zobaczyć — Molly uściśnęła Emmę.

— Mogę ci jeden dać — odparła wielkodusznie Emma.

Zbierając filiżanki po odejściu gości, Luiza usłyszała brzęk szklanek w szafce. Były w jej życiu chwile, kiedy odżywały w niej dawno już zapomniane wspomnienia z dzieciństwa. To była właśnie taka chwila.

Widziała kłócących się mężczyzn. Słyszała trzaskanie drzwiami i brzęk szkła. Dlaczego teraz musiało jej się to przypomnieć? Czy George był tym mężczyzną, z którym sprzeczał się wtedy Seth?

Pewnego ciepłego letniego wieczora Molly zabrała Emmę na spacer, a Luiza postanowiła wypróbować swoją nową łódkę, którą kupiła od panny Lyons.

Wicedyrektor szkoły, była teraz dla niej bardzo uprzejma. Przeprosiła nawet za swe zachowanie w owym pamiętnym dniu, kiedy to Luiza spóźniła się do szkoły. Stwierdziła, że o niczym nie

wiedziała, w przeciwnym bowiem razie wykazałaby o wiele większe zrozumienie. Kiedy Luiza kupiła łódź, panna Lyons poinformowała ją o wszystkich usterkach i dodała:

— To kochana, mała łódeczka, ale jej silnik nie jest w najlepszym stanie.

Luiza była podekscytowana, gdyż po raz pierwszy wypływała na blade, błękitno-zielone morze.

Postanowiła nie oddalać się zbyt od brzegu, motor pracował prawidłowo.

Stwierdziła, że mieszkając tak blisko morza, powinna być z nim jakiś sposób związana. Płynęła teraz, rozkoszując się cudownymi widokami. Pogoda była bardzo ładna, nie trzeba się było obawiać deszczu ani zbyt silnego wiatru. Na wypadek, gdyby silnik przestał pracować, Luiza zabrała kilka wiosel. W college[^] uprawiała wioślarstwo i bardzo to lubiła. Lecz na razie pragnęła nacieszyć się szybkością.

Ślizgała się po grzbietach fal. Kropelki wody skrapiały delikatnie jej opaloną skórę. Miała na sobie białe szorty oraz koszulkę w błękitno-białe pasy. Pod bezkresnym, lazurowym niebem czuła się wolna i przepelniona dziwną energią. Nawet samotność miała tu swój urok.

Z dala od brzegu morze było bardziej wzburzone.

Olbrzymia fala szybko zbliżała się w kierunku łodzi. Luiza nie zdawała sobie sprawy z jej wielkości, dopóki fala nie zalała łodzi.

Wynurzyła się z wody, trzymając się kurczowo brzegu łódki. Silnik nie pracował. Pocięła się, że ma szczęście, iż łódź nie wywróciła się do góry dnem.

Po bezowocnych próbach ponownego uruchomienia silnika, zrozumiała, że nie pozostaje jej nic innego, jak wiosłowanie. Spojrzała na ląd. Była od niego znacznie oddalona. Na szczęście wiatr, który stał się silniejszy, wiał teraz w kierunku brzegu.

Aby podnieść się na duchu, zaczęła śpiewać starą żeglarską

piosenkę. Wkrótce stwierdziła jednak, że przy śpiewaniu brakuje jej oddechu.

Wiosła stały się cięższe. Kiedy zatrzymała się na moment, zauważyła, że chociaż kieruje się do brzegu, to wcale nie zbliża się do miejsca, z którego wypłynęła.

Przyływ znosił ją szerokim łukiem tam, gdzie grzmiące fale rozpryskiwały się o hengefordzkie urwiska.

„To twoja wina” — skarciła się, wiosłując z całych sił, aby skierować łódź ku bezpieczniejszej części wybrzeża.

Nagle wiosło wyslizgnęło się z dłoni.

— Nie! — Dała po nie nura, chwytając zanim poszło na dno. Pomimo że świeciło słońce, zaczęła szcząkać zębami, gdyż zimny wiatr smagał jej ciało.

Spostrzegła, że łódź zbyt szybko dryfuje w stronę urwisk, zaczęła wiosłować ze wszystkich sił. Wiedziała, że musi zebrać całą swą energię, aby zmienić kurs łodzi i uniknąć śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Duży biały jacht motorowy pojawił się na horyzoncie niczym wielki, lśniący duch. Nie dowierzała własnym oczom.

Zaczęła krzyczeć i wymachiwać rękami, wzywając pomocy.

Jacht podpłynął bliżej, a wtedy ujrzała Morgana opartego o burtę.

— Potrzebujesz majtka? — zapytał żartobliwie. Luiza odgarnęła mokre włosy.

— Silnik zamókł.

— Nieźle zesłaś z kursu.

— Wiem! Zadygotała.

— Trzymaj! — Rzucił jej linę.

— „Mam jednak dużo szczęścia” — pomyślała.

— Masz? Przymocuj ją.

— Przywiązałam! — krzyknęła, przymocowawszy linę do kółka na dziobie.

— No to wchodź na pokład.

Kiedy znalazła się na jachcie, spojrział na nią z błyskiem w ciemnych oczach.

— Wygląda na to, że jest nam pisane ciągle się spotykać, czy ci się to podoba, czy nie.

Jacht gwałtownie zakołysał i pomknął szybko ponad falami. Człowiek przy sterze skinął głową w kierunku Luizy.

— To Reggie. Należy do mojej załogi — wyjaśnił Morgan.

Była pewna, że widziała już wcześniej tego człowieka. Potem przypomniała sobie, że on był tym, który zbierał datki dla tancerzy morris na nadbrzeżu. Był prawie tak wysoki jak Morgan. Na obnażonej piersi nosił złoty medalion, a na rękach bransolety.

— Co się stało? — zapytał Morgan oparty o reling.

— Zalała mnie olbrzymia fala. Nie zauważyłam jej wcześniej. Wiem, ostrzegałeś mnie przed tymi wodami. — Zaciśnęła wargi. — Dziękuję, że mnie zabrałeś — powiedziała, drżąc z zimna.

— Masz szczęście, że byliśmy w pobliżu. ...Na litość boską, wyglądasz jak zmokła kura. Zejdź pod pokład i przebierz się w coś suchego.

— Zaraz będę w domu...

— Zejdiesz na ląd w takim stanie? Zniechęcisz Emmę do morza na całe życie, a sama nabawisz się zapalenia płuc...

Sprowadził ją pod pokład. Nie spodziewała się takiego bogactwa: światła w mosiężnej oprawie, wspaniałe puszyste dywany...

— Ubierz się w nie, podwiń je paskiem, żeby nie opadały. — Rzucił na koję parę drelichowych spodni, marynarski sweter i trampki. — Wygodne i ciepłe — mruknął, spoglądając na jej kuse szorty i potrząsając z niedowierzaniem głową. — Weź prysznic. Tam w środku jest czysty ręcznik.

Kiedy odszedł, zdjęła ubranie i oddała się rozkoszom kąpieli. Strumień gorącej wody koił i masował jej gładką skórę.

Wytarłszy się do sucha puszystym ręcznikiem kąpielowym, owinęła się nim i poszła zająrzeć do kambuza. Była ciekawa, jak jest

urządzony. Luksusowa kuchenka i zlew z nierdzewnej stali, które się tam znajdowały, były marzeniem niejednej gospodyni. „Chciałabym mieć takie wyposażenie w swojej kuchni” — pomyślała Luiza. Posmutniała.

Przesunęła palcami po luksusowych, tekowych szafkach. „One na pewno nigdy się nie zacinają”. — Uśmiechnęła się w swych myślach. Zajrzała do jadalni, gdzie stały nowoczesne, wygodne meble. Była oszołomiona bogactwem.

Nagle warkot silnika ucichł. To wyrwało Luizę z zamyślenia.

Pośpiesznie wróciła po ubranie, które zostawił jej Morgan.

Odrzuciła właśnie ręcznik, gdy ujrzała go stojącego na schodach. Przyglądał się jej jędrnym, krągłym piersiom i zgrabnym nogom. Wprost pożerał ją wzrokiem.

Chwyciła sweter i zasłoniła się nim.

— Przyszedłem ci powiedzieć, że jesteśmy na miejscu. Wciąż się w nią wpatrywał.

— Mogłeś... mogłeś zapukać.

— Pukałem.

Zbliżał się do niej wolno, a jego oczy wysyłały sygnał, który zrozumiałaby każda kobieta. Nie była w stanie opanować reakcji swego ciała. Cała drżała.

W pełni zdawała sobie sprawę z tego, że powinna kazać mu wyjść z kabiny. Nie potrafiła jednak oprzeć się jego niezwykłemu urokowi, sweter spadł na podłogę.

— Piękna... piękna... — powiedział urywanym głosem.

Doznała dreszczy, kiedy dłońmi ujął jej piersi.

Nagle usłyszała hałas na pokładzie. I wtedy uświadomiła sobie, że stoi naga przed mężczyzną, z którym nic ją nie łączy.

— Odejdź, Morgan, proszę — powiedziała najspokojniej, jak umiała.

Wpatrywał się w nią.

— Odejdź — powtórzyła.

Odwrócił się raptownie i wybiegł z kabiny.

Szybko ubrała się i wyszła na pokład. Wciąż była zdenerwowana. Morgan zbliżył się do niej i dobitnym głosem powiedział:

— Zanim ponownie wypłyniesz w morze, naucz się dobrze obsługiwać swoją łódź.

Reggie uśmiechnął się od ucha do ucha, pokazując zepsute, nierówne zęby.

— Dobrze jej pan powiedział, kapitanie.

W ciągu następnego tygodnia zbierała książki na temat żeglarstwa, żeby czuć się pewną i bezpieczną w czasie kolejnej przejażdżki łodzią, na którą chciała zabrać Emmę.

Siedziała pogrążona w lekturze, kiedy weszła Freda i rzekła:

— Była tu Doreen, moja poprzedniczka.

— Nie myślałam, że nas kiedykolwiek odwiedzi.

— Powiedziała, że przyjechała sprawdzić, czy nie zostawiła tu swetra, ale wątpię, żeby to był prawdziwy powód jej wizyty. Myślę, że chciałyby tu wrócić.

— Raczej nie. — Luiza potrząsnęła powoli głową.

— Zatrzymała się u siostry w Minehead. Ich wzajemne stosunki nie układają się najlepiej.

— Odbyłyście rozmowę w cztery oczy?

— Było mi jej trochę żal. Nie tak łatwo dziś dostać pracę.

— Czyżby dawała mi pani do zrozumienia, że zamierza pani odstąpić Doreen swoją posadę?

— Oczywiście, że nie.

— To dobrze.

Freda zajęła się szyciem. Luiza spojrzała na nią znad książki. Przyzwyczyła się do obecności tej kobiety w domu. Traktowała ją bardziej jak swą siostrę niż gospodynię. Były jednak chwile, kiedy Freda zachowywała się bardzo dziwnie. Była wtedy myślami zupełnie gdzie indziej.

Ktoś zastukał w okno. Emma zaglądała do środka z nosem

rozpląszczonym na szybie.

— Otwórz okno, mamusiu!

— Co tam masz, Emmo? — zapytała Freda.

— Patrz. Złapałam motyla!

— Bądź grzeczną dziewczynką i wypuść go.

— Wypuszczę go za chwilę.

— Nie! Natychmiast! — nakazała surowo.

Ani Emma, ani Luiza nie słyszały, aby mówiła kiedykolwiek takim tonem.

Kiedy Luiza podeszła do okna, Emma nieznacznie otworzyła zaciśnięte piąstki.

— Ja tylko na niego patrzę, mamusiu. Nie zrobię mu krzywdy.

— Wiem, kochanie. Popatrzmy, jak odlatuje, dobrze?

Freda zwróciła się do Luizy, kiedy Emma pobiegła z powrotem do ogrodu.

— Tak mi przykro. Zapytała mnie pani kiedyś, czy jestem przesadna. Cóż, jestem. Kiedy byłam mała, ktoś mi powiedział, że motyle są duszami... nie o-chrzczonej dzieci. Utkwiło mi to w pamięci od tamtej pory i nie mogę spokojnie patrzeć, jak ktoś krzywdzi motyla.

— Rozumiem panią. Ja nigdy nie odważę się przynieść do domu kwiatu głogu, czy też położyć na stole nowych butów.

Luiza i Rob zabierali dzieci do Wookey Hole. Molly uprosiła, żeby Emma przyjechała po szkole do niej. Luiza przyjęła jej propozycję z radością. Emma lubiła być rozpieszczana, Molly zaś była szczęśliwa, odgrywając rolę babuni. To pozwalało jej zapełnić pustkę w życiu.

— Baw się dobrze, mała — rzekła Betty, gdy Luiza wsiadała do autokaru. — I uważaj, żebyś nie zgubiła się w jaskiniach z Robem — dodała żartobliwie.

— A ty nie obgaduj mnie z panną Lyons — odparła Luiza, wychylając się przez okno.

— Ja? Obgadywać? — Betty przybrała minę niewiniątka.

Dzieci były podekscytowane wycieczką.

— W porządku, siadajcie! Jedziemy! — nakazał Rob i zajął miejsce obok Luizy.

W miarę jak oddalali się od Hengeford, dzieci coraz bardziej interesowały się swoim otoczeniem. Luiza z przyjemnością słuchała ich komentarzy i pytań.

— Proszę spojrzeć, psze pana? Czy to Mendip Hills, psze pana?

— Patrzcie! Winnica!

Rob kręcił się na swoim siedzeniu.

— Widzicie kryte dachy? A wapienne ściany? A widzicie, gdzie droga została przekopana przez wzgórze?

— Dystrykt Sedgemoor... Porszę spojrzeć, proszę pani.

Droga stawała się coraz bardziej kręta i kiedy kierowca skręcił w złą stronę, odezwały się liczne głosy protestu.

— Powinien był pojechać w lewo, psze pani...

— Nie, powinien...

— Cisza! — rozkazał Rob.

Wzniósł znacząco oczy ku niebu i zwrócił się do Luizy:

— Może zostawimy ich w jaskiniach? Wreszcie wyjechali na parking w Wookey Hole.

Wkrótce podążali za przewodnikiem w głąb starożytnych jaskiń wyrzeźbionych przez nurt krętych rzek.

Dzieci nie mogły się doczekać pierwszego spojrzenia na czarownicę zakłątą w kamień. Kiedy wszyscy słuchali opowieści przewodnika, Luiza ujrzała wpatrującego się w nią mężczyznę. Stał w grupie kilku turystów, którzy dołączyli do nich. On jednak nie przypominał turysty. Był zbyt elegancko ubrany, jak na wycieczkę do jaskiń.

— Prawda, że tu na dole jest bardzo ładnie, proszę pani? Rosną tu wielobarwne rośliny — odezwała się jedna z dziewczynek.

Mężczyzna przeszedł obok, nie spojrzawszy nawet na nią. „Robię się przeczulona.”

Potem jednak ciągle czuła w pobliżu jego obecność. Opuścili

jaskinie i znaleźli się w piaskownicy. Tam zauważyła, że mężczyzna ten stoi tuż przy niej.

Odwróciła się i śmiało spojrzała mu w twarz.

— Chce pan skorzystać z tej maszyny? — spytała lodowato.

— O, przepraszam. Nie miałem zamiaru wchodzić pani w drogę. — Wyglądał na rozgniewanego, a jednocześnie zmieszanego.

Przygryzła wargę. Kim jest ten dziwny nieznajomy?

— Wszystko w porządku? — spytał Rob, który nagle pojawił się obok. — Dzieciaki są zachwycone — dodał z radością w głosie.

Kiedy wszyscy wrócili już do autokaru, jeden z chłopców zapytał:

— Będzie pan znowu siedział z panią, proszę pana?

— A myślisz, że nie powinienem, Simon? Czy coś z nią nie tak, co?

Inni wybuchnęli śmiechem.

— Nie, proszę pana.

— W takim razie usiądę obok niej. — Rob mrugnął do Luizy.

Kiedy opuścili parking, powiedział mimochodem:

— Interesował się tobą jakiś facet...

— Tak, zauważyłam to. Zastanawiałam się jednak, czy nie mam zbyt bujnej wyobraźni.

— Nie dziwię się. Wyglądasz dziś bardzo atrakcyjnie. Jak zawsze zresztą...

Uśmiechnęła się łagodnie; był jednym z najmiłszych mężczyzn, jakich знаła. Bardzo go lubiła.

— Czy zjesz ze mną obiad dziś wieczorem?

— Chciałabym, Rob, ale muszę zabrać Emmę od Molly. Freda ma dziś wolny dzień.

Z przykrością dostrzegła przygnębienie na jego twarzy. Powiedziała więc na pocieszenie:

— W dodatku teraz nadeszła moja kolej, żeby cię ugościć. Następnym razem musisz przyjść do mnie na obiad.

Pomyślała, że nie należy się zbytnio przejmować reakcją innych ludzi, gdyż w przeciwnym razie można postąpić zbyt impulsywnie i

wbrew zdrowemu rozsądkowi. Wiedziała bowiem, że nie powinna się umawiać z Robem.

Wróciła do domu, przygotowała kolację, wykapała Emmę, przeczytała jej bajkę i ułożyła do snu.

Wzięła kojącą kąpiel, a następnie rozparła się w swoim negliżu na kanapie. Zaczęła czytać książkę, lecz w chwilę później zasnęła.

Obudził ją dźwięk dzwonek. Otworzyła zaspane oczy, podniosła książkę z podłogi. Tak, wyraźnie słyszała dzwonki.

Założyła płaszcz i wyszła przed dom. Odgłosy przybrały na sile. Po chwili usłyszała piskliwe tony akordeonu. Nie mogła uwierzyć, że tancerze morris byliby na tyle zuchwali, aby ćwiczyć bez pozwolenia na jej prywatnym terenie. Luiza ruszyła szybko w kierunku lasu, aby zobaczyć kim są intruzi.

Stała za drzewem i ujrzała grupę tancerzy. Nie byli jednak ubralni jak uczestnicy tańca morris. Kilku z nich tańczyło, podczas gdy inny grał na kobzie. Ten dziwny widok przeraził Luizę. Postanowiła jak najszybciej wrócić do domu.

Nagle poczuła czyjaś dłoń na ramieniu. Wrzasnęła. Jakieś palce wpiły się w jej obojczyk niczym szpony. Jedna dłoń zakryła jej usta, a druga zatrzymała się na piersiach. Kopnęła napastnika z całej siły, ale jego silne dłonie chwyciły ją jeszcze mocniej. Przyciągnął ją do siebie, aż poczuła jego cuchnący oddech. W żaden sposób nie mogła uwolnić się z jego brutalnego uścisku.

Oniemiała z przerażenia, kiedy pozostali tancerze odwrócili się. Każdy z nich nosił ohydny, psychodeliczną maskę. Zaczęli się do niej zbliżać wolnym tanecznym krokiem. Była zupełnie bezradna. Z lękiem przypatrywała się otaczającym ją, zamaskowanym istotom.

Zamknęła oczy. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz, kiedy jeden z tancerzy zerwał z niej płaszcz. Uświadomiła sobie, co za chwilę nastąpi, zebrała jeszcze raz wszystkie siły, próbując się wyslizgnąć z trzymających ją mocno ramion. Była jednak zbyt słaba. Przypominała muchę szamoczącą się w pajęczynie.

Nagle usłyszała w oddali głos:

— Cholera jasna! Scarper!

Promień światła padł na poszycie lasu. Ktoś uderzył ją pięścią. Upadła na wilgotną trawę. Jak przez mgłę widziała uciekających mężczyzn. Przycisnęła dłonie do ziemi i dźwignęła w górę głowę.

— Pomocy! — zawołała.

Po chwili wstała i chwiejnym krokiem udała się w kierunku przejścia. Kiedy tam wreszcie dotarła, ujrzała biegnącego w jej stronę Morgana.

Z płaczem rzuciła mu się w ramiona.

RS

Rozdział VI

Wkrótce na Księżycowe Wzgórze przybył policjant. Luiza opowiedziała mu o wszystkim, co się wydarzyło. Starła się mówić wyraźnie i spokojnie, mimo że przychodziło jej to z wielkim trudem. Nadal bowiem była bardzo zdenerwowana.

Morgan stał smutny przy kominku. Wspominał chwilę, gdy znalazł Luizę obok przejścia; rzuciła się w jego ramiona, a on mocno przytulił ją. Całował jej policzki i powtarzał czule: „Już nic ci nie grozi”.

Komisarz oświadczył, że lasek jest przeszukiwany i zwrócił się do Morgana:

— Więc uważa pan, że spłoszyły ich reflektory pańskiego samochodu, panie Le Fleet?

— Jestem tego pewien.

— Ilu ich było, pani Clark?

— Czterech... pięciu... nie jestem pewna... — zaczęła Luiza, próbując jeszcze raz przypomnieć sobie tę scenę. Bardzo dobrze się stało, że pan Le Fleet przybył we właściwym czasie. Wiele mu zawdzięczam!

— W jakim celu pan tu przyjechał, panie Le Fleet?

— Chciałem oddać pani Clark jej własność — odpowiedział z wahaniem w głosie.

Luiza przypomniała sobie, że zostawiła na jachcie swoje ubranie. Czytał w jej myślach.

— Zamierzałem przyjechać tu dziś po południu. Interesy jednak nie pozwoliły mi na to. Dzięki Bogu przybyłem później.

Kiedy wreszcie została sama, doznała dużej ulgi. Usiadła w salonie, nie zapalając światła i pograżyła się w myślach.

Znowu wyrzucała sobie naiwność i obiecywała, że od tej pory będzie o wiele ostrożniejsza. W głębi ducha martwiło ją jednak coś innego.

Nie chodziło tu o związek z Morganem. W tej sprawie podjęła już decyzję. Nie chciała wiązać się uczuciowo z żonatym mężczyzną.

Co zatem napawają takim lękiem? Co jest przyczyną tego dziwnego stanu, w jakim się znajdowała?

Nagle w pokoju zapaliło się światło. Luiza drgnęła.

— Przepraszam! Nie wiedziałam, że pani tu jest. W otwartych drzwiach stała Freda. Miała na sobie swój najlepszy dwuczęściowy kostium i jasny kapelusz. Luiza podniosła rękę, by przygładzić włosy.

— Ależ pani jest blada! Dobrze się pani czuje? — zapytała z troską.

Luiza parsknęła krótkim, bezradnym śmiechem.

— Świetnie! Tylko dzień był pełen niezwykłych wrażeń. — Spuściła wzrok.

— Coś jest nie w porządku. O co chodzi? — Freda pochyliła się nad Luizą.

— Wiele razy czytałam o strasznych rzeczach, które przytrafiały się kobietom w dziwnych, odludnych miejscach wieczorem, ale nigdy nie wierzyłam, że i mnie mogłoby to spotkać, i to we własnym domu. — Głos jej się załamał i łzy zaczęły napływać jej do oczu.

Freda objęła ją ramionami. Po chwili Luiza uspokoiła się i opowiedziała całą historię.

— Sądzę, że była to kolejna próba zmuszenia mnie do opuszczenia Księżycowego Wzgórza. Chcą, żebym sprzedała dom. Ktoś chce, żebym sprzedała dom. Próbują zrobić ze mną to, co zrobili z Brianem.

— Nie martw się. Już nie jesteś sama. Ja też tutaj jestem. I po tym, co się stało, nie zostawię cię więcej samej.

— Oni mnie przerażają — rzekła Luiza.

— Nie! Nie ciebie! Nie wnuczkę Setha.

— Wszystkie te przykre wydarzenia są z sobą powiązane. Ktoś tak bardzo chce, żebym znienawidziła życie tutaj, że jest gotowy na wszystko.

— Dlaczego nie pójdziesz do łóżka i nie spróbujesz się wyspać? — zapytała Freda.

— Spróbuję.

Idąc na górę, zastanawiała się, gdzie była Freda, że wróciła o tak

późnej porze. Może pojechała odwiedzić przyjaciół? A może była na spotkaniu z mężczyzną?

Weszła do swego pokoju i poczuła, że jest bardzo senna. Rozwiązała pasek spódnicy i pozwoliła jej opaść na podłogę, potem zdjęła sweter i położyła się nago pomiędzy chłodnymi prześcieradłami. Po chwili zasnęła.

Obudził ją wrzask. Chwyciła szlafrok i pobiegła na półpiętro, a potem do pokoju Fredy. Gospodyni z przerażoną miną wpatrywała się w łóżko.

— O, mój Boże!

— Węże! — krzyknęła Freda.

W zagłębieniu materaca rzeczywiście coś się poruszało.

— To węgorze — wyjaśniła Luiza wzdygając się.

— Mamusiu! — odezwała się Emma ze swego pokoju. — Co się dzieje?

— Wszystko w porządku. Zostań tam, gdzie jesteś. Za chwilę przyjdę — uspokajała ją Luiza.

Objęła Fredę ramieniem.

— One są niegroźne...

— Mogłam włożyć stopę w sam ich środek! Mogły mi wpełznąć za koszulę!

— Wiem. Wiem., wyjdźmy stąd.

Delikatnie wyprowadziła Fredę z pokoju. Skoro znalazły się na zewnątrz, oparła się o zamknięte drzwi. Emma przybiegła do niej boso.

— Mówiłam ci...! — Luiza urwała.

— Co się stało?

— Freda nie czuje się zbyt dobrze.

— Już jest lepiej. Naprawdę. — Freda przyłożyła chusteczkę do oczu, po czym dodała nienaturalnym głosem: — Połóż Emmę z powrotem do łóżka, a ja zrobię coś do picia.

— Chodź, Emmo. Wracaj do łóżka, słonko.

— Czy nie czas do szkoły?

— Jest noc!

Położyła Emmę do łóżka i poszła do kuchni.

— Wiadomo, kto to zrobił, Fredo — powiedziała z goryczą.

— Mężczyźni z lasu?

— Idę o zakład, że to oni. Być może myśleli, że to moje łóżko. Chcieli mnie wystraszyć.

Freda, niosąc na górę szklankę mleka, obejrzała się przez ramię i zauważyła:

— Czy to nie ja chwaliłam się, że nie łatwo mnie przestraszyć? Dostałam nauczkę.

Zaczekała, aż Freda zniknie w pokoju Emmy i dopiero wtedy podniosła słuchawkę telefonu.

— Halo, John... Przepraszam, że dzwonię tak późno... O, to dobrze... Ja też zwykle w piątek kładę się późno spać... — zaczęła niepewnie.

— Chciałabym cię o czymś poinformować. Ciebie pierwszego, tak jak kiedyś obiecałam. Postanowiłam sprzedać Księżycowe Wzgórze... — Przerwała, słysząc, jak bardzo go ta wiadomość ucieszyła. Tak. W takim razie o ósmej...

Odłożyła słuchawkę.

— Coś ty zrobiła? — wzburzonym głosem zapytała Freda. — Luiza odwróciła się zaskoczona. — Pytałam, coś ty zrobiła? — powtórzyła.

— Za kogo ty się uważasz? Nie pytałam cię o zdanie w tej sprawie! — Luiza odważemniła wrogie spojrzenie.

— Sprzedaż Księżycowego Wzgórza będzie największym błędem, jaki kiedykolwiek popełniłaś!

— Fredo! — W oczach Luizy pojawił się błysk złości.

— Jeśli sprzedasz ten dom, sprowadzisz hańbę na całą rodzinę Clarków.

Luiza patrzyła na swą gospodynię z niedowierzaniem. Czyżby wydarzenia tej nocy tak bardzo wytrąciły ją z równowagi?

— Fredo... — Głos Luizy brzmiał teraz łagodniej.

— Wiem, co mówię, Lui.

— Co powiedziałaś?

Freda milczała. Na jej twarzy pojawił się wyraz zakłopotania. Luiza lekko cofnęła się. Nikt nie nazywał ją Lui, odkąd...

„To niemożliwe! Niemożliwe!” — pomyślała. Ale wyraz oczu był ten sam. Jak mogła tego wcześniej nie zauważyć?

Spojrzała oczami pełnymi łez na stojącą obok niej kobietę.

— Co oni ci zrobili, ciociu Pru?

— Ostatnim razem, kiedy się widziałyśmy, był dzień jarmarku. Pamiętasz, Lui?

— Ja... nigdy nie zapomnę tego dnia. Jakże bym mogła?

Zapanowało krótkie milczenie. Pru dotknęła swoich siwiejących włosów i rzekła ponuro:

— Kiedyś były gęste i miały taki piękny, złocisty kolor. Bardzo się teraz zmieniłam, prawda? Rozpoznałaś mnie dopiero wtedy, gdy nazwałam cię Lui. Nie tylko nasz wygląd się zmienia, kiedy się starzejemy. Teraz nigdy nie zostawiłabym dziecka samego tak, jak zostawiłam ciebie tamtego dnia na jarmarku.

— Dziadek dowiedział się, że odjechałaś z mężczyzną jego samochodem, ponieważ ja mu o tym powiedziałam. Gdybym tylko zaczekała na ciebie, tak jak prosiłaś...

— Ale ty miałaś tylko siedem lat! W każdym razie uspokój się. Ojciec podejrzewał, że widuję się z Andrzejem. Trudno było utrzymać to w tajemnicy. Zresztą nie dbałam o to. Kiedy jesteś zakochana, zawrzesz pakt z samym diabłem, żeby być z kimś, kogo kochasz, reszta się nie liczy. A ja kochałam Andrzeja.

— Dlaczego dziadek nie pozwalał ci się z nim spotykać?

— Nie mógł pogodzić się z myślą, że jakkolwiek mężczyzna mógłby oddzielić mnie od rodziny. Był przy tym taki uparty. Nie chciał słuchać żadnych wyjaśnień.

— Złagodniał na starość.

— Dla mnie nie miało to już żadnego znaczenia. Nie chciał zgodzić

się na nasze małżeństwo, gdyż Andrzej był nieślubnym dzieckiem. Wierny swym zasadom Seth nie mógł pozwolić, aby ktoś taki wszedł do rodziny.

Kiedy wróciłam po jarmarku do domu, ojciec zrobił mi straszną awanturę. To było okropne. Nie potrafię opisać, co wtedy czułam. Tamtego wieczora zrozumiałam, że nigdy nie będę miała własnego życia, jeśli nie odejdę od ojca. Właśnie wtedy Andrzej i ja postanowiliśmy uciec i pobrać się. Jechaliśmy do Szkocji. W drodze nasz samochód zderzył się z ciężarówką. — Jej głos był teraz prawie niesłyszalny. — Andrzej zginął na miejscu. Ja miałam mniej szczęścia — dokończyła szeptem. Byłam poparzona, ale żyłam.

— Nie chciałaś wrócić do domu...

— Możesz w to wierzyć albo nie, ale chciałam. Pragnęłam zobaczyć matkę. Myślałam, że odwiedzi mnie w szpitalu. Teraz mam sobie za złe, że nie próbowałam się z nią skontaktować. Po długim czasie wróciłam na Księżycowe Wzgórze. Dom był zamknięty na cztery spusty. Wybiłam szybę, żeby się dostać do środka. Okazało się, że ojciec wyjechał w interesach. Znalazłam jego pamiętnik... Właśnie stamtąd dowiedziałam się, że moja kochana mama nie żyje! Ojciec winił mnie za jej śmierć... — Łzy płynęły jej po policzkach. Wstała gwałtownie z fotela i krzyknęła: — Nie przyszło mu do głowy, żeby winić samego siebie.

Nagle zamilkła. Nasłuchiwała. Luiza podniosła się powoli i również nasłuchiwała. Z jakiegoś miejsca w domu dobiegał czyjś słodki, cichy śpiew.

— Co to takiego? — zapytała przerażona Pru i przeżegnała się.

— Wiatr wydaje czasem naprawdę niesamowite odgłosy. Jesteśmy zmęczone. Powinniśmy spróbować trochę się przespać.

Kiedy Pru poszła w końcu spać, Luiza wzięła kąpiel. Leżąc w wannie próbowała uporządkować myśli.

„Znalazłyśmy się teraz w dziwnej sytuacji. Osoba, która powinna była odziedziczyć dom, mieszka tu jako gospodyni. Jak teraz

powinnam się zachować? Co miała na myśli Pru, mówiąc, że jeśli sprzedam dom, na nas wszystkich spadnie hańba? Zupełnie nie znam swojej ciotki. Dziwię się, że wróciła do domu, w którym była taka nieszczęśliwa. Dlaczego to zrobiła? Czy chce go odebrać? "

Postanowiła poznać prawdę o swoim pochodzeniu, nawet jeśli mogła się ona okazać dla niej bolesna.

W łóżku zaczęły ją trapić inne myśli. Bała się związku z Morganem, powinna stłumić uczucie do niego, a jednocześnie zdawała sobie sprawę, jak bardzo będzie to trudne. Zastanawiała się w czym tkwi jego urok, spod którego nie potrafiła się wyzwolić. Wciąż nie wiedziała, co on do niej czuł. Czy żywił do niej zwykłe uczucie sympatii, czy może coś więcej?

Zbudziła się bardzo wcześnie. Założyła sandały, spódnicę i kamizelkę i zniosła wiadro z węgorzami nad potok. Wzięła również z sobą strzelbę.

Zapowiadał się piękny, słoneczny dzień. Pomyślała, że powinna częściej wstawać wczesnym rankiem i ruszyła ścieżką prowadzącą z ogrodu nad morze. Stała na plaży, obserwując morze. Nagle usłyszała jakiś szmer. Odwróciła się szybko, trzymając strzelbę.

— Nie strzelaj! To ja!

Nie wierzyła własnym oczom. To był Morgan.

Miał na sobie to samo ubranie co poprzedniego wieczora, teraz jednak było ono wymięte. Wyglądał na bardzo zmęczonego.

Położyła broń obok skały.

— Morgan! Co ty tu robisz!?

— To najlepsza pora na spacer. Nie wiedziałaś? Zaczynała domyślać się prawdy.

— Byłeś tu przez całą noc... prawda? Obserwowałeś dom?

— Nie powinnaś włóczyć się ze strzelbą. To nie jest rozwiązanie.

— Byłeś tu? — powtórzyła.

— Nie podoba mi się to wszystko, nie podobało mi się już od dawna. Czas żebyś przedsięwzięła większe środki ostrożności.

Spojrzała na niego bez słowa. Teraz wiedziała, że mu na niej zależy. Spędził całą noc na plaży, gdyż chciał mieć pewność, że nie zagraża jej żadne niebezpieczeństwo.

Wszystkie uczucia do niego, które starała się stłumić, wezbrały w niej z jeszcze większą niż zwykle siłą.

Była mu tak bardzo wdzięczna. Zanim jednak zdążyła się odezwać, zapytał szorstko:

— A poza tym, dlaczego jesteś tak wcześniej na nogach?

Uznała, że powinien wiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło. Opowiedziała mu więc o węgorzach.

— Mój Boże!

Zbliżył się do niej, objął ją ramionami. Delikatnie gładził jej włosy.

— Nie powinnaś mieszkać tu sama — powiedział z przejęciem.

— Jest przecież Freda.

— Dwie kobiety? Potrzebujesz mężczyzny. Kiedy indziej wdałaby się w żarliwy spór, teraz jednak nie mogła wykrztusić z siebie ani słowa. Wreszcie odezwała się:

— Muszę wracać. Emma mogłaby się obudzić. Stała z głową opartą o jego pierś i przyglądała się

uderzającym o brzeg falom. Po chwili milczenia powiedział:

— Ona szybko dorasta. Nie zawsze będzie cię potrzebować. Musisz myśleć także o własnej przyszłości.

— Nie wiem dlaczego, ludzie wysuwają takie argumenty. Jeszcze bardzo długo będzie mnie potrzebowała.

Objął ją ciasno. Delikatnie dotykał wargami szyi. Wiedziała, że musi mu się wyrwać, lecz nie potrafiła wykonać żadnego ruchu. Zamknęła oczy, a on zaczął ją namiętnie całować.

Słyszała w oddali cichy szum fal obmywających brzeg, lecz w jej wnętrzu nie panował taki spokój.

Po śmierci męża tłumiała swe seksualne pragnienia. Sądziła, że uwolniła się od nich na zawsze. Teraz jednak czuła, że pożąda

Morgana. Dotyk jego dużych dłoni wprowadzał ją w stan niezwykłego uniesienia.

Rozpiął jej kamizelkę i zaczął pieścić jej kształtne piersi. Kiedy pochylił głowę, aby móc ją całować, Luiza miała wrażenie, że znalazła się w zaczarowanym świecie, gdzie nie istnieje żadne jutro ani wczoraj. Była bliska ekstazy.

Mewa odezwała się na szczycie urwiska. Ten dźwięk przywrócił Luizę do realnego świata.

— Co się stało? — szepnął Morgan.

— Co my robimy? — zapytała. — Jesteś żonaty, Morgan! Żonaty!

Chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

— Nie! Nie! — Próbowała się od niego uwolnić.

— Nie mów nie! Nie tym razem!

Wiedziała, że w żaden sposób nie może go teraz powstrzymać. Jednocześnie była pewna, że nigdy nie będzie pragnęła żadnego innego mężczyzny.

Nieoczekiwanie wypuścił ją z objęć i usiadł na piasku. Wpatrywał się przed siebie szklistym wzrokiem.

— Masz prawo o niej wiedzieć. Heather i ja dorastaliśmy razem. Nasze rodziny przyjaźniły się. Kiedy tylko staliśmy się pełnoletni zrobiliśmy to, czego oczekiwali i pragnęli wszyscy: pobraliśmy się.

Podniósł kamyczek i wrzucił go do wody.

— Ten stary komunał, że nie pozna się kogoś, dopóki nie zje się z nim beczki soli, jest prawdziwy. Zaraz po ślubie okazało się, jak mało o niej wiedziałem. Nie ma potrzeby zagłębiać się w szczegóły. Nie układało nam się i już. Prawdopodobnie wina leżała po mojej stronie. Dużo czasu spędzałem poza domem. A może oboje nie dorośliśmy wtedy jeszcze do małżeństwa. Ja, oczywiście, dowiedziałem się o tym ostatni, dopiero wtedy gdy uciekła z nim do Francji.

Nie mogła uwierzyć, że jakakolwiek kobieta mogłaby porzucić Morgana.

— Gdzie ona teraz jest?

— Dalej mieszka we Francji — przerwał szorstko.

— Tak... tak bardzo mi przykro... — powiedziała głosem pełnym smutku.

— Na litość boską, czy ty niczego nie rozumiesz? Nie chcę twojego cholernego współczucia! Chcę ciebie! Pragnę cię!

Luiza nie mogła uwierzyć. On ją kochał! To dlatego spędził noc na plaży. Martwił się o nią. Czuła się tak bardzo szczęśliwa. Upragniony przez nią mężczyzna, kochał ją.

Zamknęła oczy, a on ponownie wziął ją w ramiona.

Następnego dnia Morgan zabrał Luizę i Emmę do Exmoor.

Oznajmił, że koniecznie muszą zobaczyć widok, którego się nie zapomina.

Wiedziała, że stara się jej pomóc odzyskać równowagę psychiczną po ostatnich, bolesnych dla niej przeżyciach.

Po drodze zatrzymali się w Minehead. Luiza wysłała pocztówkę do Hildy. Zrobiła też drobne zakupy, po czym we trójkę udali się do kawiarni, gdzie zjedli pyszne placuszki z kwaśną, gęstą śmietaną.

Kiedy wracali do samochodu, Emma biegła przed nimi, trzymając na sznurku balon w kształcie serca. Morgan chwycił dłoń Luizy i uściśnął ją mocno. Zarumieniała się, kiedy ich spojrzenia spotkały się.

Wkrótce dotarli do przepięknych, porośniętych wrzosem wzniesień Exmoor.

Wysiedli z samochodu i poszli przed siebie.

— Najwyższy punkt w Exmoor — oznajmił Morgan, wskazując jedno ze wzgórz. — Święte miejsce w czasach pogańskich. Po dzień rozpala się tam ognie na szczególne okazje. Chodźmy na szczyt!

Złapał zachwyconą Emmę i posadził ją sobie na ramionach. Luizie udzielił się jego radosny nastrój. Nie zwlekając ani chwili, pobiegła za nimi. Nigdy nie widziała go w tak dobrym humorze!

Wspinali się na szczyt, podziwiając roztaczające się przed nimi widoki.

Morgan objął ją.

— Widzisz Mendips? A wzniesienie Dartmoor, tam, dalej?

— Widać stąd Dartmoor?

— Chcesz powiedzieć, że nie znam tych okolic? Tak?

Przyciągnął ją do siebie i pocałował w czubek nosa.

Zatrzymali się w jednym z wąwozów i postanowili odpocząć. Emma zbliżyła się do owcy o czarnym pysku i zaczęła do niej łagodnie przemawiać. Zwierzę jednak nie było skore do nawiązania nowej znajomości. Luiza położyła się na trawie. Przysłuchiwała się cykaniu koników polnych, brzęczeniu owadów, beczeniu owcy i szumowi wiatru.

Morgan pochylił się nad nią.

— O czym myślisz? — szepnął.

— Przyszło mi do głowy, że gdybym umarła dokładnie w tej chwili i Bóg powiedziałby mi: „W porządku, Luizo, wybierz swoje niebo”, wróciłabym tutaj.

Nie odpowiedział jej. Siedział prosto i wyglądał na zatroskanego.

Oparła się na łokciu.

— Hej, co się stało?

— Nie rozwiodę się z Heather, powinnaś o tym wiedzieć.

Przyjmowała za rzecz oczywistą, że jego małżeństwo jest skończone, szczególnie po tym, co między nimi zaszło. Była taka pewna, że on naprawdę ją kocha.

Podniosła się wolno. Wiatr wzmógł się i gwizdał jej w uszach. Morgan ciągnął dalej:

— Jest teraz całkiem sama. Nie ma nikogo. Porzucił ją.

Spojrzał na nią smutno i dodał:

— Nie wybieraj jeszcze swego nieba, Luizo.

Rozdział VII

W drodze powrotnej panowała zupełnie inna atmosfera. „Nawet ten uroczy krajobraz nie jest już taki piękny” — pomyślała ze smutkiem.

Nie mogła przebaczyć sobie, że pozwoliła, aby jej związek z Morganem stał się czymś więcej niż tylko zwykłą przyjaźnią. Była taka pewna, że on czuje do niej to samo, co ona do niego.

„Co, u licha, kazało mi wierzyć, że jego małżeństwo skończyło się raz na zawsze?” On — odpowiedziała sobie gniewnie. — Wszystko, co mówił i robił wtedy na plaży świadczyło właśnie o tym.”

„Ani razu nie powiedział jednak, że cię kocha — szepnął inny głos. — Nigdy nie przestał kochać własnej żony.”

Mocno splotła dłonie.

„Co za idiotka ze mnie — pomyślała. — Jak mogłam być taka naiwna!”

— Powiedz „dziękuję”, Emmo — rzekła oficjalnie Luiza, kiedy przybyli na Księżycowe Wzgórze.

— Cała przyjemność po mojej stronie. To był bardzo miły dzień. Chciałbym, żeby w moim życiu były tylko takie dni — powiedział.

— Więc dlaczego...? — przerwała i zagryzła wargę.

— Wejdiesz z nami do domu? — zaszczebiotała Emma.

— Annabel została sama. Muszę wracać! — Przykucnął obok Emmy. — Chciałbym zamienić z twoją mamą parę słów na osobności — rzekł łagodnie.

— Rozmowa dorosłych?

— Mhm.

— Dobra.

— Nie zapomnij o lekcji jazdy konnej. Annabel będzie na ciebie czekała.

Emma zarzuciła mu ręce na szyję, po czym podbiegła do domu ze swoim balonem. Morgan odwrócił się do Luizy.

— To cudowne dziecko!

— Tak — potwierdziła cicho.

— Słuchaj... Przepraszam. To wszystko, co mogę powiedzieć.

— Wszystko?

— Nie mogę niczego wyjaśnić.

— Nie oczekiwałam tego od ciebie.

— Heather jest wciąż moją żoną.

— Na dobre i na złe. Bez względu na to, czy jest z tobą, czy odchodzi z innym mężczyzną.

— To moja sprawa.

— Teraz to jest również moja sprawa. Po tym, co między nami zaszło, mam chyba prawo wiedzieć, co zamierzasz zrobić — powiedziała wzburzoną głosem i od razu pożałowała tych słów.

Zamierzała wejść do domu, ale zatrzymał ją mówiąc:

— Wiesz jak bardzo pragnę być z tobą?

— Ach, nie, Morgan. Nie pragniesz mnie. Oszukujesz siebie. Każda inna kobieta mogłaby zająć moje miejsce!

Wbiegła szybko po stopniach. Zatrzymała się jednak, gdy zawołał ją po imieniu. Obejrzała się i zobaczyła, że podnosi do góry zakupy z Minehead. Podszedł do niej i stanął na stopniach.

— Luizo... — zaczął niepewnie.

— To był uroczy dzień, Morgan, ale to był zarazem ostatni dzień jaki spędziliśmy razem — powiedziała bardzo stanowczym głosem i szybko wbiegła do domu.

W kilka chwil później usłyszała trzask zamykających się gwałtownie drzwi samochodu i pisk opon.

— Morgan... — westchnęła.

Parę dni później zadzwoniła Hilda.

— Bardzo dziękujemy za kartkę z pozdrowieniami. Jest nam tak miło, że o nas pamiętasz. Co słyhać?

Luiza zaczęła rozmowę, którą już dawno postanowiła przeprowadzić z Hildą. Rozmowę na temat swego pochodzenia.

— Ależ kochanie, naprawdę sądziłam, że wiesz o tym wszystko —

rzekła Hilda po długiej pauzie. — Byłam przekonana, że babcia powiedziała ci o wszystkim.

— Jesteś całkiem pewna, że mama była w ciąży, zanim wyszła za mąż, ciociu?

— Hm, nie wiem, co powinnam...

— Jesteś jedyną osobą, która może powiedzieć mi prawdę, a ja mam prawo ją znać! Babcia powiedziała kiedyś, że cieszy się, iż w moich żyłach nie płynie krew Setha. Wtedy byłam za mała, żeby to zrozumieć, ale teraz... Proszę cię, powiedz mi, kim był mój ojciec? — błagała.

— To był miejscowy chłopak. Twoja matka bardzo go kochała. Zamierzali się pobrać, ale on zginął w wypadku motocyklowym. Pamiętam, jak ona to strasznie przeżyła. Później twój tata poprosił ją o rękę, resztę znasz. To wszystko należy do przeszłości i wiemy o tym tylko my dwie.

Ciotka pożegnała się i odłożyła słuchawkę. Luiza stała nieruchomo, wpatrując się przed siebie błędnymi oczami. Pyszniła się posiadaniem Księżycowego Wzgórza, podczas gdy tak naprawdę nie miała do niego żadnego prawa. Ta myśl nie dawała jej spokoju. Czuła się winna wobec Pru, której podstępem zabrała dom!

Po przykrym zdarzeniu w lesie w okolicach Księżycowego Wzgórza często kręcił się wóz policyjny.

— Czuję się, jakby nas obserwowali. Mogliby nam dać spokój — rzekła rozdrażniona Pru.

— Oni wykonują tylko swoją pracę. Nie mamy żadnej pewności, że ci bandyci nie wrócą. Czuję się lepiej, wiedząc, że w okolicy jest policja.

— Strata czasu!

Pru wyszła z pokoju. Najwidoczniej nie chciała dłużej rozmawiać na ten temat.

Opowieści o tym, co zdarzyło się na Księżycowym Wzgórzu szybko rozeszły się po Hengeford. Luizie zdawało się, że czuje na sobie

spojrzenia rodziców przyprawdzających dzieci do szkoły.

Betty starała się ją uspokoić. Ustawicznie powtarzała, że mieszkając w miasteczku, człowiek czuje się bezpiecznie, gdyż wie, że dokoła są ludzie gotowi w każdej chwili pospieszyć z pomocą.

Luiza sądziła, że najgorsze ma już za sobą. Jednak Betty stale o tym mówiła i zaczęły odżywać w niej wszystkie dawne niepokoje. Panna Lyons zwróciła uwagę Betty, że nie powinna przypominać tych przykrych wydarzeń.

— Nie przypominam jej. Po prostu próbuję jej wytłumaczyć, że Hengeford jest w gruncie rzeczy spokojnym miasteczkiem.

— Przypuszczam, że pani Clark chce zapomnieć o tym, co się jej przydarzyło.

Panna Lyons zebrała swoje książki i nerwowo wyszła z pokoju.

— Zręczliwa stara panna — syknęła Betty.

Koniec semestru sprawiał, że wszyscy nauczyciele byli zdenerwowani i przemęczeni. Należało więc unikać niepotrzebnych tarć. Kilka dni później Betty zapytała Luizę, kiedy Rob przyjdzie na kolację do niej.

Panna Lyons spojrzała z zazdrością. Betty była bardzo zadowolona, widząc, jakie wrażenie zrobiły jej słowa na pani wicedyrektor. Luiza miała ochotę ją za to udusić.

Do końca tygodnia Luiza pochłonięta była przygotowaniami do Dni Sportu, podczas których miały się odbyć najrozmaitsze zawody i konkursy. Trudniej było zachęcić dzieci do jakiegokolwiek pracy, gdyż myślały już o zbliżających się wakacjach.

W sobotę, kiedy Rob miał przyjść na kolację, Pru oświadczyła, że chciałyby zabrać Emmę do kina.

— Czy nie sprawia różnicy, że Emma nazywa cię Fredą, a ja Pru?

— Nic nie szkodzi. Freda to moje drugie imię.

— Nie wiedziałam.

— Nie wiemy o sobie wielu rzeczy.

— Pru, nie możesz dalej być tutaj gosposią. To nie w porządku.

— Ależ dlaczego? Jak myślisz, czym zajmuje się każda właścicielka domu, jeśli nie prowadzeniem gospodarstwa i doglądaniem dzieci? Kocham Emmę. Jest taka bystra i...

Ku swemu zdziwieniu Luiza dostrzegła lzy lśniące w oczach Pru. Starsza kobieta uśmiechnęła się z zażenowaniem.

— Odżyło we mnie tak wiele wspomnień, odkąd tu wróciłam. Wiesz, byłam zadowolona, że ojciec zostawił ci Księżycowe Wzgórze. Sądziłam, że zapisze je kościołowi albo jakiejś instytucji dobroczynnej. W każdym razie nie mnie.

— Nigdy nie miałam wrażenia, że Księżycowe Wzgórze jest tylko moje, naprawdę, nie — odezwała się Luiza z zakłopotaniem. — Gdyby dziadek wiedział, że żyjesz, to...

— Nie mów, że przebaczyłby mi, bo nie zrobiłby tego. Zwłaszcza gdyby wiedział... — Pru przerwała, rozejrzała się dokoła siebie i ze smutkiem potrząsnęła głową.

— Często zastanawiam się, co takiego sprawiło, że wróciłaś, Pru?

Pru odpowiedziała po chwili wyraźnego wahania:

— Przypuszczam, że... tęsknota za domem. Choćby człowiek przeżył w rodzinnym domu najbardziej przykre chwile swego życia, zawsze będzie pragnął do niego powrócić.

Luiza pilnie przypatrywała się swojej ciotce. „Co ona przede mną ukrywa?”

Rob zjawiał się punktualnie. Miał na sobie gustowny, brązowy garnitur, a w dłoni bukiet różowych goździków. Był bardzo onieśmielony. Po kolacji pochwalił umiejętności kulinarne Luizy.

— Czy wiesz, że twoje oczy zmieniają kolor? Czasem są szare, a czasem błękitne — zauważył uśmiechając się. — Czy to zależy od twojego nastroju?

— A w jakim nastroju jestem teraz? — zapytała wesoło.

— Odprężona. Od dawna nie widziałem cię na luzie. Ostatnio nie wyglądałaś najlepiej.

— Wiesz, jak kocham szkołę.

— Równie mocno, jak my ciebie? Rodzice wychwalają cię pod niebiosą.

— To miłe, ale w Hengeford jest ktoś, kto mnie nie lubi! — odrzekła ponuro.

— Ufasz Quince'owi?

— Muszę przyznać, że wiele razy zadawałam sobie to pytanie. Nie mogę jednak uwierzyć, że byłby aż tak wyrefinowany i podły. Jest dla mnie miły. Lubię go.

— Czy Morgan też uważa, że powinnaś sprzedać dom?

Usłyszawszy to imię, uczuła klucie w sercu. Starła się mówić bardzo naturalnie.

— Tak, myślę, że jest za tym, żebym sprzedała Księżycowe Wzgórze. Z pewnością rozwiązałoby to wiele problemów.

— Często się z nim widzisz?

— W Hengeford niczego nie da się ukryć! — Zaśmiała się krótko.

— Luizo, nie jestem ślepy. Czy ty i on...?

— Wiesz, że jest żonaty?

— Wiem. Heather go porzuciła, a potem ten chłopak opuścił ją, kiedy zachorowała. Bardzo smutna historia!

— Jak to zachorowała?

— Jest umysłowo chora, przebywa w domu opieki we Francji.

— O, Boże!

Zamknęła oczy i osunęła się na kanapę.

— Przepraszam. Nie powinienem był ci mówić. Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Myślała o tym, jak bardzo była niesprawiedliwa dla Morgana.

— Potrzebny ci urlop, Luizo. Semestr wkrótce się skończy. Może wyjedziesz z Emmą do Kornwalii?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Mam domek wypoczynkowy w Fowey. Od czasu do czasu jeździ tam Betty, Mary Lyons także. Wybierz się. Zobaczysz, że wyjazd dobrze ci zrobi.

— To brzmi cudownie!

— Jestem pewien, że Fowey bardzo ci się spodoba. Obiecuję, że pojedziesz. Będziesz miała dom dla siebie.

— Jesteś najmilszym, najlepszym człowiekiem... — zaczęła z oczyma lśnącymi od łez.

Rob pochylił się nad nią i czule pocałował ją w usta.

Panna Lyons z lodowatą miną i zaciśniętymi wargami stanęła twarzą w twarz z Luizą przed jednym z rodziców.

— Szkoda, że nie powiedziała mi pani, że Nigel dał pani pieniądze na szkolne zdjęcia!

— Przepraszam, ja...

— Mówiłam pani, panno Lyons, że dałam je Nige-lowi w kopercie — odezwała się matka Nigela.

— Zaznaczyłam to na liście na pani biurku, panno Lyons — rzekła Luiza.

— Na mojej prywatnej liście? Nic mi pani o tym nie powiedziała — warknęła panna Lyons.

— Musiałam zapomnieć...

— Zapomnieć? — zapytała szorstkim głosem wicedyrektor.

Luiza zacisnęła pięści, nie mogła pozwolić, aby ktokolwiek strofował ją przy rodzicach i uczniach. Nie miała do tego prawa nawet pani dyrektor.

— Porozmawiamy o tym później — powiedziała chłodno i odeszła.

W kilka chwil później panna Lyons wpadła do pokoju, w którym Luiza wykonywała ksero.

— Jak pani śmiała tak odejść?

Luiza przyglądała się arkuszom papieru wysuwającym się gładko z maszyny. Odezwała się spokojnie:

— Nie chciałam wdawać się w sprzeczkę przy pani Nigel. Raz przeprosiłam, chociaż doprawdy nie rozumiem, o co ta cała awantura.

— Doskonale pani wie, że nie cierpię, kiedy ktoś dotyka papierów na moim biurku. Próbowалам się z panią zaprzyjaźnić, ale pani cały

czas nadużywa mego zaufania i robi wszystko, aby mnie do siebie zrazić.

— Panno Lyons! Naprawdę sądziłam, że robię pani przysługę, biorąc pieniądze Nigela... Ach!... To głupie!

— Ja odpowiadam za porządek w swojej klasie! A właśnie tam jest Nigel: w mojej klasie. Mojej! Nie pani! — krzyczała.

Zapadła cisza. Nagle Luiza przypomniała sobie, że zaraz po przyjściu do szkoły rozmawiała z Betty o domku Roba.

— Nie chodzi wcale o pieniądze na zdjęcie, prawda? — Panna Lyons najwyraźniej nie spodziewała się takiego pytania. Stała bezradna na środku pokoju i nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. — Rob pożyczą mi tylko swój domek na urlop. Nie jedzie ze mną — wyjaśniła Luiza, wkładając papier do fotokopiarki.

— Czy ma pani zamiar podbić serca wszystkich mężczyzn w Hengeford? — zapytała drwiąco panna Lyons wychodząc.

— Och, proszę pani, nie każe nam pani rozwiązywać testów, prawda? — krzyknęło jedno z dzieci, kiedy Luiza wróciła do klasy.

— Nie. Będziecie rozwiązywać łamigłówki — odrzekła słabym głosem.

— Świetnie!

W klasie rozległ się hałas, kiedy dzieci otwierały i zamykały pokrywy ławek.

Mała dziewczynka spojrzała ciekawie na swą nauczycielkę, po czym zwróciła się do niej nieśmiało:

— Dziwnie pani wygląda, jest pani blada. Luiza wzięła głęboki oddech i zwilżyła wargi.

— W porządku, wszyscy. Uciszcie się. Sprawdzę obecność.

W końcu lekcje się skończyły. Luiza obawiała się jednak tego, co miało nadejść po szkole. Przypomniała sobie bowiem, że właśnie dzisiaj Annabel miała udzielić Emmie lekcji jazdy konnej.

Próbowała znaleźć jakąś wymówkę, która usprawiedliwiłaby ich nieobecność. Kiedy jednak zaczęła rozmawiać z Emmą o treningu,

dostrzegła w jej oczach tak wielką radość, że zrozumiała, że nie może sprawić jej zawodu.

— Niedługo zobaczę mojego kucyka — zawołała Emma.

— On nie jest twój, słonko.

— Morgan mówi, że mogę na nim jeździć, kiedy tylko zechcę.

Kiedy jechały do Staithes, Luiza wciąż z niepokojem myślała o spotkaniu z Morganem. Po przybyciu na miejsce doznała znacznej ulgi, dowiedziawszy się, że nie ma go w domu.

Do samochodu podbiegła Annabel.

— Czy ty też jeździsz, Luizo?

— Ja, nie!

— Nie musisz czekać na Emmę. Mogę ją odwieźć do domu, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, żeby została na herbacie. Jadę potem na randkę.

— Z kimś miłym?

— Jeszcze jak. Poznałam go w College'u. Nie śniło mi się nawet, że przyjedzie z tak daleka, żeby się ze mną zobaczyć.

— Wolno mi zostać na herbacie, prawda, mamusiu? — zapytała Emma. — Jeżdżę do ciotki Molly i któregoś dnia zostanę u niej na całą noc. — Po chwili dodała przyciszonym głosem: — Kiedy pana Khol nie będzie w domu. Pan Khol nie przepada za małymi dziećmi!

Kobiety roześmiały się.

— Będę się nią dobrze opiekować. Możesz spokojnie jechać do domu.

Luiza podziękowała i uruchomiła samochód. Kiedy wjeżdżała na drogę, ujrzała zbliżającego się do niej na kasztance Morgana. Jechała bardzo wolno, nie chcąc przestraszyć zwierzęcia.

Jej serce biło jak oszalałe. Morgan zatrzymał się obok samochodu i spojrzął z góry.

— Nie sądziłem, że przyjedziesz.

— Emma cały dzień opowiadała wszystkim o swoim przyjeździe tutaj i o lekcji jazdy konnej.

— Zaczekaj, proszę.

Zsiadł i przywiązał konia do ogrodzenia.

— Nie mogę. Otworzył drzwi.

— Tylko na chwilę. Powinniśmy porozmawiać. Nie możemy dalej zachowywać się w ten sposób.

— W jaki? — spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Wiesz, co mam na myśli. Udawać, że wszystko nam jedno, czy będziemy się nadal spotykać.

— Dlaczego mi nie powiedziałeś, że twoja żona, Heather, jest chora?

— Co by to zmieniło?

— Jak choćby przez chwilę mogłeś sądzić, że pozwoliłabym, żeby wszystko między nami zaszło tak daleko, gdybym znała całą prawdę? Za kogo mnie uważasz? Za osobę pozbawioną wszelkich ludzkich uczuć?

Zmarszczył brwi.

— Gdybyś wiedziała to, co wiesz teraz, pozwoliłabyś mi się dotknąć?

— Robiłabym wszystko, aby do tego nie doszło. — Zaczęła iść w stronę samochodu. Obejrzała się przez ramię. — Powiedz mi jedną rzecz. Kochałeś... kochasz ją?

— Boże, dopomóż! Miłość! Cóż znaczy to słowo, że wszystkie kobiety pragną je usłyszeć. Wypowiedz je, a przypuszczalnie otworzysz przed każdą bramą raj. Ale jeśli chcesz wiedzieć powiem ci: tak, kochałem ją!

Oparł się plecami o drzewo i patrząc przed siebie, powiedział:

— Ten mężczyzna też musiał powtarzać Heather, że ją kocha, a mimo to odszedł od niej. Jakie zatem znaczenie ma mówienie o miłości. To są tylko słowa. Jeśli jednak to jest dla ciebie takie ważne, to powinnaś wiedzieć, że przestałem ją kochać dawno temu... ale wciąż jest moją żoną. W naszej rodzinie nigdy nie było żadnych rozwodów i ja nie mam zamiaru tego zmieniać. Będę przy niej tak długo, jak długo będzie mnie potrzebowała. Zapewnię jej dobrą

opiekę i zrobię wszystko, aby wróciła do zdrowia i była szczęśliwa.

Chwycił ją mocno za ramiona.

— Wiem jednak, że jeśli chcę, abyś została ze mną, muszę powiedzieć ci to, co już dawno chciałaś usłyszeć. Muszę powiedzieć, jak bardzo cię kocham. W porządku, jeśli tego właśnie pragniesz...

— Nie wiesz, jak się mylisz! W rzeczywistości jest to ostatnia rzecz, jakiej pragnę... Nie zmuszaj mnie do powiedzenia tego, co naprawdę o tobie myślę.

Drżała, rozzłoszczona i zraniona zarazem. Marzyła o tym, że Morgan powie jej kiedyś, że ją kocha, ale nie w ten sposób...

Przyglądał jej się badawczo.

— Powiedz mi, co o mnie myślisz. To może być całkiem interesujące.

— Nigdy w życiu nie spotkałam kogoś, kto traktowałby innych ludzi tak jak ty, Morgan. Żal mi twojej żony. Nic dziwnego, że wylądowała w szpitalu dla umysłowo...

Chciała go przeprosić, była gotowa wysłuchać jego pretensji, krzyków, lecz żadne z nich nie odezwało się ani słowem.

Z oczyma pełnymi łez uruchomiła samochód. Morgan jej nie zatrzymał.

W domu panowała głucha cisza. Sądziła, że Pru jest w ogrodzie, i była z tego zadowolona. Potrzebowała czasu dla siebie. Nalała sobie drinka i drżącą dłonią uniosła szklankę.

— Za nasze pożegnania, Morganie Le Fleet! Zanim przyłożyła szklankę do ust, usłyszała dźwięk dobiegający z piwnicy. „Czyżby znowu jacyś nieproszeni goście?” — pomyślała z obawą. Wzięła strzelbę i poszła sprawdzić.

W piwnicy paliło się światło. Pru pochylała się z łopata w ręku nad miejscem, w którym kamienne płyty były obluzowane i nierówne. Odsunęła dwa spośród kamieni i podważała trzeci.

— Pru! Co...?

— Nie wchodzi! — krzyknęła Pru odwracając się.

— Co ty robisz? — Luiza zbiegła po stopniach.

— Dlaczego nie jesteś w Staithes? Spoglądały na siebie:

W spojrzeniu Luizy było zdziwienie, w spojrzeniu Pru malował się strach i gniew zarazem.

„Co jej się stało? — pomyślała Luiza. — Dlaczego zachowuje się tak dziwnie?”

— O co chodzi? — zapytała łagodnie. Nagle Pru ukryła twarz w dłoniach, łkając.

— Już dobrze, dobrze — szepnęła Luiza. Odłożyła strzelbę i zaprowadziła kobietę do stojącego w kącie, starego fotela na biegunach. — Posiedź chwilę spokojnie.

— Wyrosłaś na miłą kobietę, Lui, wiesz o tym? Nie, nie potrząsaj głową i nie rób takiej poważnej miny, to prawda. — Wskazała na kamienne płyty. — Oto dlaczego nie chciałam, żebyś sprzedała Księżycowe Wzgórze albo żeby weszła tu policja. Byłby taki wstyd, gdyby ktoś znalazł... — Urwała.

— Co? Co znalazł? Powiedz mi. — Spytała z przejęciem.

— Muszę ci powiedzieć, Lui. Nie mogę tego dłużej ukrywać. Mówiłam ci, że w końcu powróciłam do domu po tym, jak uciekłam. Zesłam wtedy do tej piwnicy. Przechowywano tu trochę moich rzeczy, chciałam je zabrać. Znalazłam nawet swoją starą, szmacianą lalkę. Ale potem... ale potem... Nie mogłam wejść z powrotem. Wiadomość o śmierci matki i odkrycie, że ojciec mnie o to obwiniął, bardzo mną wstrząsnęły. Moje dziecko przyszło na świat tu, na dole, Lui.

Luiza nie była w stanie się odezwać. Poczowała, że nogi uginają się pod nią. Przykucnęła u stóp Pru.

— Po śmierci Andrzeja byłam przez pewien czas w szpitalu. Wróciłam jednak do domu, kiedy przyszła pora narodzin dziecka.

— I... i urodziłaś je tu?

— Nigdy wcześniej nie widziałam noworodka. Urodził się martwy. Pochowałam go. Tam.

Wskazała na miejsce, w którym znajdowały się kamienie.

Luiza stała nieruchomo, nie mogąc zrobić ani kroku. Jej szeroko otwarte oczy świadczyły o narastającym w głębi duszy przerażaniu.

— Później zatrzymałam się na pewien czas u bliskiej przyjaciółki, która była pielęgniarką i bardzo mi pomogła.

— Ach, Pru... Pru! Szkoda, że nie wiedziałam o tym wszystkim...

— Dziwne, to wszystko wydarzyło się tak dawno temu, a jednak pamiętam to bardzo dobrze. Och, Lui, moje dziecko miało śliczne włoski, delikatne i jasne.

Rozejrzała się wokół.

— Więc teraz wiesz, dlaczego wróciłam. Chcę, żeby mój syn miał należyty pogrzeb. Muszę wydobyć go z tej piwnicy.

Luiza objęła ją.

— Chodźmy na górę, Pru. Tam o tym porozmawiamy.

— Jak może być przyjęty do Królestwa Bożego, jeśli nie został ochrzczony?

— Ależ oczywiście, że może! Co u licha, przyszło ci do głowy?

— Za każdym razem, gdy jestem w kościele myślę o tym, że on nie będzie zbawiony! Muszę pochować go w poświęconej ziemi...

— W Hengeford?

— O, nie! Tutaj nikt nie może się o tym dowiedzieć. Znałam kiedyś pewnego pastora. Pracował w naszej parafii, kiedy tu mieszkałam, ale potem przeniósł się do Bristolu. W zeszłym roku pojechałam go odwiedzić. Chciałam z nim porozmawiać, niestety zabrakło mi odwagi. Uciekłam, nie zamieniwszy z nim ani słowa.

— Dobrze go znałaś? — zapytała Luiza z przejęciem.

— Tak.

— No to jedź i odwiedź go jeszcze raz, Pru! Porozmawiaj z nim, zanim cokolwiek zrobisz. Jedź jutro. Weź mój samochód, nie marnuj czasu.

— Myślisz, że powinnam?

— Ależ tak! Pastor będzie wiedział najlepiej, jak ci pomóc. — Luiza

wzięła dłonie Pru w swoje i uściśliła je lekko. Zdawała sobie sprawę, że nie jest w stanie udzielić ciotce takiej pomocy, jakiej ona od niej oczekiwała. Była pewna, że jeśli Pru zdecyduje się zrobić to, o czym wspomniała wcześniej, to nie da się dłużej utrzymać wszystkiego w tajemnicy. Nie w Hengeford.

Następnego wieczora Luiza udała się na umówione spotkanie z Johnem Quincem w pobliskiej kawiarni. Idąc tam, wciąż myślała o Pru, która rano pojechała do pastora. „Czy wystarczy jej odwagi, aby z nim porozmawiać?”

Emma nocowała u Kholów.

Jakże Molly kochała dzieci! Zwierzyła się kiedyś Luizie, że chciała zaadoptować sierotę, lecz George nie chciał się zgodzić.

Zaczęła myśleć o rozmowie, którą za chwilę miała przeprowadzić z Quincem. Jeden fakt stał się teraz oczywisty: przez wzgląd na Pru nie mogła jeszcze sprzedać Księżycowego Wzgórza. Czy John to zrozumie?

Kiedy usiadła naprzeciwko niego w kawiarni, z zakłopotaniem obracała w palcach szklanke.

— Przykro mi, próbowałam zadzwonić, żeby odłożyć nasze spotkanie, ale nie zastałam pana.

— Wydawało mi się, że jest pani całkowicie zdecydowana na sprzedaż domu... Nie ukrywam, że jestem bardzo zaskoczony i rozczarowany.

— Wiem. Przepraszam — powtórzyła cicho. — Przykro mi, ale nie mogę szczegółowo wytłumaczyć panu tej decyzji.

— Raz się wygrywa, raz się przegrywa — rzekł bez uśmiechu. Wypił do końca swoją szkocką, po czym wstał. — Cóż, jeżeli nie możemy dobić targu, to przynajmniej się zabawmy.

— Obawiam się, że nie mogę zostać... — zaczęła, lecz on poszedł już do baru.

„Dlaczego nie mogę spróbować być bardziej towarzyska” — pomyślała. — Zapomnieć o wszystkim: o Pru, o Morganie...”

— Dzień dobry, pani Clark! Słyszałam, że dziwne rzeczy działały się na Księżycowym Wzgórzu. Na pewno wiele pani przeżyła. Bardzo współczuję.

Przy stoliku obok siedziała Doreen w towarzystwie siwowłosego mężczyzny.

— Dzień dobry, Doreen. Co słyszeć? — Luiza starała się być miła.

— Nie znalazłam jeszcze pracy. Jak się czuje moja mała Emma? To jest mój przyjaciel, pan Green. — Uprzejmie pochyliła ku niemu głowę.

Luiza była zadowolona, kiedy powrócił John i Doreen zaczęła rozmawiać z ożywieniem ze swoim przyjacielem. Wciąż czuła się zażenowana, gdy przypominała sobie rozstanie ze swą dawną gospodynią.

John rozluźnił krawat i rozpiął kołnierzyk koszuli. Pochylił się ku niej, opierając łokcie na stole.

— Wie pani co, pani Clark? Potąd mam handlu nieruchomościami. — Przyłożył dłoń do brwi. — Wie pani, co naprawdę chciałbym robić? Zostawić to zapyziałe miasteczko i wyruszyć do wielkiej metropolii. Pojechać tam, gdzie jest wszystko. Otworzyć elegancki, mały sklep z antykami.

Luiza sączyła swoje martini. Czuła lekki szum w głowie. Niewiele jadła tego wieczora, a poza tym rzadko zdarzało jej się wypić dwa drinki, jeden po drugim. John nachylił się do niej jeszcze bardziej i przemówił ciszej. Język mu się plątał.

— Mógłbym, gdybym chciał, wie pani...rozkrećć interes w Londynie. Mam z czego żyć. — Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni swojej marynarki gruby portfel.

Luiza wypila do końca swego drinka i energicznie postawiła szklankę na stoliku.

— Dlaczego tak bardzo potrzebuje pan Księżycowego Wzgórza, John. Powiedz mi. Zdaje się, że i bez niego bardzo dobrze ci się powodzi.

— No, no! Niech pani nie zrzuca na mnie odpowiedzialności, pani Clark. Nie chcę tego domu. W tym cholernym domu straszy! Wszyscy o tym wiedzą. Niech pani mnie nie wini za całą rozróbę! Proszę tego nie robić! Niech pani mnie nie wini!

Luiza położyła dłoń na jego dłoni i zapytała łagodnym głosem:

— Komu tak bardzo na nim zależy, John?

— Lubię panią i dlatego powiem pani... — Nagle przerwał. — Z przerażeniem patrzył na kogoś, kto stał za Luizą.

RS

Rozdział VIII

— Dobry wieczór! Cóż za spotkanie!

Reggie, mężczyzna, którego widziała na jachcie Morgana podszedł do stołu i oparł na nim ręce. Luiza zauważyła, że brakuje mu jednego palca.

— Przynieść coś do picia?

— M... mnie szkocką — wyjąkał John, pobladłszy.

— Dziękuję, ale ja muszę już iść! — Luiza wstała.

— Nie chciałbym przeszkadzać. — Reggie uśmiechnął się, ukazując zepsute zęby.

— Gawędziliśmy tylko, stary. — John wytarł spoconą twarz zieloną, kraciastą chusteczką.

Reggie pomógł Luizie założyć zakiet. Kiedy się zbliżył, poczuła jego oddech. „Nie należy wyciągać zbyt pochopnych wniosków — pomyślała — wielu ludzi ma nieświeży oddech. "Niemniej jednak przypomniało jej to mężczyznę w lasku.

Była już przy wyjściu, gdy zauważyła siedzącego w rogu sali mężczyznę z rudymi wąsami. Chciała mu się przyjrzeć, ale on odwrócił się i z kimś rozmawiał. Wydawało jej się, że to ten sam człowiek, który przyglądał się jej w Wookey Hole.

„Ostatnio zrobiłam się bardzo podejrzliwa” — pomyślała i szybko wyszła z kawiarni.

Do pobliskiego ogrodzenia był przywiązany owczarek szkocki. Pies skomlał i trząsł się.

— Biedne psisko — powiedziała na głos.

Miała właśnie do niego podejść, kiedy zobaczyła wychodzącą Doreen.

— Już pani idzie, pani Clark? Nie ma pani nic przeciwko temu, żebym zamieniła z panią parę słów? Proszę, stańmy w bardziej ustronnym miejscu. Jeżeli będzie pani kiedyś chciała, żebym wróciła na Księżycowe Wzgórze, chętnie się zgodzę.

— To miło z pani strony. Nie spodziewałam się tego, zwłaszcza po tym, w jaki sposób się rozstałyśmy.

— Wiem. Ale wszystkim zdarzają się małe sprzeczki, prawda? Domyśliłam się, że było pani wtedy równie przykro, jak mnie. Ale przecież wcześniej potrafiłyśmy się dogadać, prawda?

Mężczyzna, który siedział ze mną przy stoliku, jest moim dobrym przyjacielem, wie pani? Spotykamy się; przeszedł na emeryturę, a ja mam wolny czas... hm, obecnie, aż za dużo. Jak pani wiadomo, z natury jestem osobą pracowitą i mówię pani: źle się czuję nie pracując.

— Przecież pani wie, że mam teraz inną gospodynię, Doreen?

— Idę o zakład, że nie opiekuje się małą Emmą tak dobrze jak ja.

— Jestem z niej zadowolona.

— Cóż, gdyby jednak coś się jej przytrafiło, na przykład gdyby zachorowała, wie pani, gdzie mnie znaleźć, prawda? — Przeszyła psa pełnym nienawiści wzrokiem. — Stul ten cholerny pysk! To pies Reggiego. Najlepiej niech się pani trzyma od niego z daleka, pani Clark. Potrafi być niebezpieczny.

— A więc pani zna Reggiego?

— O, tak. Pracował kiedyś na jednej z budów Le Fleeta. Miał wtedy przykry wypadek. — Pochyliła się ku Luizie, spoglądając na nią badawczo. — Mój brat mówił mi, że zepsuł się jakiś walec wibracyjny. Mechanika nie było, bo akurat naprawiał jeden z furgonów. Pan Le Fleet powiedział wtedy do Reggiego: „Znasz się na silnikach. Spróbuj go uruchomić” Reggie zgodził się, ale zaznaczył, że zna się tylko na silnikach okrętowych. Le Fleet twierdził, że silnik to silnik. Był przy tym bardzo zdenerwowany i niegrzecznie się odzywał. No więc Reggie odpowiedział, że spróbuje. Le Fleet wracał do swego biura, gdy nagle rozległ się straszny wrzask. Mój brat mówił, że silnik miał przedwczesny zapłon.

Le Fleet przybiegł natychmiast i zabrał Reggiego do biura, żeby założyć mu na rękę opatrunek. Krew była wszędzie! A Le Fleet

krzyknął do mojego brata: „Zobacz, czy nie ma tam gdzieś jego palca”. Żeby mówić komuś coś takiego! Mój brat nie znalazł tego palca. Potem Reggie zawsze pomagał na łodzi panu Le Fleet. Przypuszczam też, że dostał duże odszkodowanie za ten wypadek.

Kiedy Doreen odeszła, Luiza stała przez chwilę, myśląc o tym, co usłyszała. Potem podeszła do psa i pochyliła się nad nim.

— Cześć!

Odskokczyła, gdy owczarek ukazał swe ostre zęby i zawarczał.

Wróciła właśnie na Księżycowe Wzgórze i weszła do domu, gdy zadzwonił telefon. To była Doreen.

— Pomyślałam, że może chciałaby pani wiedzieć, pani Clark, co wydarzyło się w kawiarni po pani wyjściu. Nie zgadnie pani, odwieźli pana Quince'a policyjnym wozem. Był pijany i awanturował się. Słyszałam, jak Reggie mówił do niego ostrym tonem: „Geor-ge'owi się to nie spodoba, chłopcze. Ani trochę mu się to nie spodoba, a to, co nie podoba się George'owi, nie podoba się również mnie”. No! Pan Quince zerwał się wtedy na równe nogi i przewrócił stół, a potem rozpętało się tu istne piekło. Quince wypił całą butelkę szkockiej, wszyscy to widzieli.

— Powiedziała pani: George?

— Zgadza się.

— Ciekawa jestem, o kogo chodzi? — rzekła powoli Luiza.

— Wiem, że to nie moja sprawa, ale gdy policja zabrała pana Quince'a, przypadkowo stałam w pobliżu telefonu. Słyszałam, jak Reggie dzwonił do pana Khol.

— Emma jest teraz w domu Kholów!

— W domu Kholów? — zawołała Doreen.

— Tak.

— Bardzo się dziwię, że zdecydowała się ją pani tam zostawić. To żadna tajemnica, że Khol nie może ścierpieć rodziny. Zawsze was nienawdził.

Odłożywszy słuchawkę, Luiza pomyślała: „Nie mogę tracić głowy.

Mój Boże, Molly na pewno nie pozwoli zrobić Emmie krzywdy".

Była całkiem bezradna. Nie mogła teraz jechać po Emmę, bo nie miała samochodu. Pru jeszcze nie wróciła.

„A może by pojechać tam rowerem?” — zastanawiała się.

W końcu podniosła słuchawkę i wykręciła numer telefonu Kholów. Odezwała się służąca. - Halo?

— Czy mogłabym rozmawiać z panią Khol? Mówi Luiza Clark.

— Niestety nie ma jej w domu.

— Musi być! A gdzie jest Emma? — wykrzyknęła Luiza.

— Emma już zasnęła, a pani Khol właśnie wyskoczyła odwiedzić sąsiadkę, ale w domu jest pan Khol. Czy mam go poprosić?

Luiza odwróciła się i ujrzała wchodzącą do domu Pru. Od razu spostrzegła, że coś jest nie w porządku. Luiza powiedziała, co usłyszała od Doreen.

— Nie warto się tym przejmować. Doreen lubi zmyślać niewiarygodne historie. — Spojrzała w oczy Pru. — Niemniej jednak myślę, że pojedę odebrać Emmę.

— Przywieźmy ją natychmiast. — Na twarzy Pru pojawił się wyraz zaniepokojenia.

Padał ulewny deszcz. Widoczność była słaba, mimo to samochód mknął szybko.

— Nie lubisz George'a, prawda?

— Nie, nie lubię — odparła Pru.

— O, Boże! Nie wiem, dlaczego zgodziłam się, żeby Emma tam została. Czy myślisz, że Khol nienawidzi naszej rodziny?

— Znajomy pastor opowiedział mi, że George i ojciec okropnie się kiedyś pokłócili. Ojciec rzucił w George'a szklanką, lecz na szczęście chybił. Obaj byli bardzo porywczy i nieustępliwi.

— Pamiętam to — odrzekła nagle Luiza. Pru spojrzała na nią ze zdziwieniem. — Pamiętam to, ale bardzo słabo. Wspomnienie z dzieciństwa. Kiedyś wyczułam w salonie dziwną atmosferę. To było zaraz po wizycie George'a. Być może tylko mi się zdawało, ale...

szklanki drżały w gablocie, kiedy weszłam wtedy do salonu. Jestem jednak pewna, że to od nacisku deski na podłogę... Och! Nie rozmawiajmy o duchach. Powiedz mi, co ci się udało załatwić, Pru?

— Długo rozmawiałam z pastorem. Ach, Lui, on był taki życzliwy. Pamiętał, jaki surowy był mój ojciec, i... powiedział, że muszę znaleźć spokój w sobie.

Opowiedziałam mu o tym, że chodzę jak we śnie. On uważa, że to dlatego, że jestem niespokojna o swoje dziecko. Miałas rację, Lui, jeżeli sprawię mu należyty pogrzeb, na pewno prędzej czy później cała historia wyjdzie na jaw. — Po chwili milczenia, dodała miękko: — Nie sądzę, abym kiedykolwiek poznała prawdziwą przyczynę jego śmierci.

Potem zamilkły obie. Po chwili jednak Pru zauważyła z wahaniem:

— Słyszałam, że jeżeli jakaś część płuc dziecka zostanie nienaruszona, patolog może stwierdzić, czy dziecko oddychało.

Luiza zacisnęła dłonie na kierownicy.

— Czy po dwudziestu latach przeprowadzenie takich badań jest już niemożliwe?

— Nie wiem... — Luiza przełknęła ślinę.

— Jest coś, czego nie mogłam opowiedzieć pastorowi, czego nie byłam w stanie opowiedzieć nawet sobie...

Nie chciała niczego więcej słyszeć! Huczało jej w głowie. Deszcz zaczął o przednią szybę. Chciała krzyknąć: „Nie mów mi!”

— Lui!

Gwałtownie wcisnęła hamulce. Sarna zniknęła z pola widzenia.

— Myślałam, że ją potracisz. Nagle zaczęłaś jechać tak szybko.

Luiza dygotała, kiedy wjechały wreszcie na podwórko Kholów.

— Pani Khol już wróciła. Powiem jej, że pani tu jest. Proszę zaczekać, właśnie bierze prysznic.

Pokojówka z zaciekawieniem spjrzała na zniekształconą twarz Pru.

Luiza i Pru usiadły obok wysmukłego stolika w stylu chippendale, na którym stał wysoki wazon z kwiatami. Nagle gdzieś otworzyły się

drzwi i kobiety usłyszały podniesione głosy.

— Nie podobają mi się twoje insynuacje! — wykrzyknął George.

— A mnie nie podoba się to, że muszę cię oskarżać!

Luiza poczuła, że oblewa ją rumieniec, kiedy rozpoznała głęboki, dźwięczny głos Morgana.

— Kobiety spojrzały na siebie.

— Mógłbym oskarżyć cię o zniesławienie, Le Fleet! — usłyszały krzyk George'a.

— Skarż mnie, o co chcesz, ale kiedy zdobędę dowód, że stoisz za całym tym interesem i korzystasz z mojej cholernej łodzi, znajdziesz się w sądzie przede mną!

Luizie zaparło dech, kiedy Morgan ruszył w ich kierunku. Zatrzymał się gwałtownie, najwyraźniej zdziwiony jej obecnością tutaj. Skinął krótko głową i spojrzał na Pru.

Luiza odwzajemniła skinienie głowy i odezwała się uprzejmie:

— To jest Prudence Clark.

Jej głos zamarł, gdy zdała sobie sprawę, że mimo woli ujawniła prawdziwą tożsamość Pru.

— Co powiedziałas? — zapytał George, który podążył za Morganem.

Pru wystąpiła niespodziewanie naprzód z wysoko uniesioną głową.

— Jestem córką Seta Clarka, panie Khol. Twarz George'a nabiegła krwią. Mężczyzna spojrzał gniewnie na Pru i rzekł:

— Wydaje mi się, że widziałem gdzieś już twoją szpetną twarz!

— Tak, widziałeś ją wcześniej, tylko że wtedy nie byłam wcale taka szpetna, prawda? Musiałam być nawet ładna, skoro twój syn chciał się ze mną ożenić.

— Co za brednie... — zaczął George, lecz Pru przerwała mu stanowczym głosem.

— Pozwól, że odświeżę ci pamięć. Chyba pamiętasz swego nieślubnego syna, prawda?

— Ależ to wierutna bzdura! — wybuchnął George.

— Gdyby jego matka, Lily, jeszcze żyła, potwierdziłaby, że mówię prawdę.

— O czym ona mówi, George?

Odwrócili się wszyscy. Ku nim schodziła Molly w długiej jedwabnej podomce. Zatrzymała się, lekko zadyszana. George chwycił ją za łokieć

— Nonsens! Czysty nonsens! Chodź i napij się. Molly odtrąciła go i utkwiała w Pru spojrzenie.

Ledwo było ją słyhać, kiedy mówiła niemal bezgłośnie:

— Mój Boże! Ty jesteś Prudence. Śliczna, mała Prudence Clark, która przed laty uciekła z Andrzejem Phillipsem...! — Skierowała wzrok na George'a i powiedziała donośniej: — Andrzej Phillips, z tą gęstwiną miedzianych włosów, dokładnie takich, jak kiedyś twoje, George. Teraz sobie przypominam.

— Może pani usiądzie, pani Khol? — zaproponował łagodnie Morgan, wyciągając do niej rękę.

— Nic mi nie jest, mój drogi. Naprawdę — odrzekła Molly bezbarwnym głosem.

— Na litość boską, nie możesz uwierzyć w to, co ona mówi — ryknął George.

Molly napadła na niego.

— Ty podły...! Nie tylko oszukałeś radę, oszukałeś także mnie...

— Zamknij się, kobieto — wrzasnął George.

— Ty się zamknij! — Molly zacisnęła dłonie na szyjce wazonu stojącego w hallu. Mocno uderzyła nim George'a w twarz. Khol zatoczył się i upadł. Z rozciętej wargi płynęła krew.

Zapadła krótka cisza. Przerwał ją melodyjny głos dzwonka przy drzwiach. Dźwięk ten wyrwał wszystkich ze stanu chwilowego odurzenia. Morgan podniósł George'a i zaprowadził go do łazienki. Luiza zabrała Molly do salonu. Pru podążyła za nimi.

Przestraszona pokojówka otworzyła drzwi. Przed domem stali policjanci. Odjechali, zabierając z sobą George'a i Morgana.

— Ma teraz za swoje — rzuciła Molly przez zaciśnięte zęby, po ich odejściu. — Wiedziałam, że nie mówi prawdy. Zawsze poznaję, kiedy łyże.

Luiza nigdy nie widziała Molly tak zdenerwowanej.

— Przykro mi, pani Khol. Nie chciałam, żeby pani słyszała to, co powiedziałam — rzekła smutno Pru.

— Mam prawo znać prawdę! On nigdy by mi jej nie wyjawiał. To zjadliwa żmija, znam go.

Twarz Molly pałała gniewem.

— Przd chwilą opowiedziałam wszystko policji! Miałam cały czas oczy i uszy otwarte. Widziałam, jak przychodzili tu o zmroku...

— Kto? — zapytała Luiza.

Było jej bardzo żal Molly, lecz dręczył ją również niepokój o Morgana. „Czyżby i on był w to wplątany?”

— Reggie, Quince i inni. Kiedy pytałam George'a, co się dzieje, odpowiadał zawsze, że mam trzymać gębę na kłódkę. — Zamrugwała szybko oczami, jakby chciała powstrzymać łzy. — Zrozumcie mnie, kochałam go! Patrzyłam przez palce na każdy podejrzany interes. Ale to, to co innego. — Wykrzywiła twarz w bólu. — Inna kobieta... dziecko... och!... dziecko!

— Molly... — zaczęła Luiza.

Molly zdawała się jednak nie słyszeć jej głosu, ciągnęła dalej:

— George starał się mieć czyste ręce. To inni wykonywali za niego brudną robotę. Słyszałam wystarczająco dużo. Reggie przemycił brylanty z Amsterdamu, miał tam jakiś kontakt, potem przekazywał je dalej Quince'owi, a Quince przynosił je George'owi.

— Brylanty? — zawołała Pru. Podniosła wzrok na kobiety.

— Zdaje się, że Quince złożył donos na George'a i Reggie'ego. Wszczął jakąś bójkę w kawiarni, po czym policja zabrała go na komisariat. Bóg raczy wiedzieć, co go tak przestraszyło, że zdecydował się złożyć obciążające George'a i innych zeznania. Teraz wszyscy są w niezłych tarapatach. Zresztą, wcześniej czy później

musiało się to stać. Nie można nikomu ufać... — Ostatnie zdania wypowiedziała bardzo cicho, jakby do siebie samej.

— Molly, dlaczego zabrano Morgana? — spytała nieśmiało Luiza.

— Reggie używał jego łodzi do przemytu brylantów.

— Nie wierzę, że Morgan miał choćby najmniejsze pojęcie o tym, co robił Reggie! Le Fleet odbywał podróże do Francji, żeby odwiedzić swoją żonę... — powiedziała Luiza.

Molly spojrzała na nią z politowaniem.

— Mężczyźni! Cóż my wiemy o którymkolwiek z nich? Nie ufaj im zbyt, Luizo. Oni zawsze coś przed tobą ukrywają!

— Ciekawa jestem, czy policja podejrzewała już coś wcześniej? — zastanawiała się głośno Pru. — Tłumaczyłoby to zwiększoną liczbę patroli. A ja myślałam, że oni obserwują Księżycowe Wzgórze!

— Widziałam, jak krążyli w pobliżu nadbrzeża, kiedy byłam z Johnem na kawie. Mogli nawet sądzić, że jestem w to wplątana, skoro spotykam się z Quincem.

— Wszystkie stajemy się przeczulone, prawda? Ja myślałam, że są na moim tropie, nawet, że wiedzą o moim dziec... — Pru urwała, zdając sobie sprawę, że mówi to przy Molly.

Ale ona patrzyła bezmyślnie przed siebie. Nagle ożywiła się i niespokojnym głosem powiedziała:

— O, mój Boże! Chyba George nie ma nic wspólnego z tymi strasznymi rzeczami, które wydarzyły się na Księżycowym Wzgórzu?

— Nie? — zapytała Pru.

— Nie! Nie skrzywdziłyby małej Emmy ani Luizy. Nie straszyłby ich ani... — Przerwała, nie mogąc mówić dalej. Łzy płynęły jej po policzkach.

Luiza objęła ją ramieniem. Wreszcie Molly wytarła oczy i wykrztusiła:

— Przepraszam. — Odzyskiwała panowanie nad sobą. — Nawet was nie zapytałam, dlaczego przyjechałyście, prawda?

— Ja... przywiozłam lalkę Emmie — odrzekła Luiza, rzucając Pru

znaczące spojrzenie. — Lubi mieć ją w nocy przy sobie. — Potem dodała: — Może chciałabyś, abym i ja została tu dzisiejszej nocy?

— Ależ tak, moja droga! Bardzo bym tego chciała!

Luiza odprowadziła Pru do samochodu. Deszcz przestał już padać. W powietrzu unosił się zapach skoszonej trawy. Pru rozejrzała się wokół siebie.

— To wspaniały dom. Molly mogłaby tu być taka szczęśliwa, gdyby nie... — Zmarszczyła brwi. — Szkoda, że usłyszała, jak podnoszę głos na George'a, ale byłam taka wściekła. Jak on mógł wyprzeć się własnego syna? Niegdyś otaczał go troskliwą opieką. Udawał przed nim kochającego ojca. Wiesz, przypuszczam, że on wini mnie za śmierć Andrzeja. Podejrzewam, że właśnie to było przyczyną kłótni pomiędzy nim a Set-hem. Niewątpliwie powiedział ojcu, że to ja namówiłam Andrzeja do ucieczki.

— Możemy się tylko domyślać, co się wtedy stało — odpowiedziała Luiza.

— Tak. Możemy się tego tylko domyślać — powtórzyła smutno Pru.

— Pru... jest coś, o czym nigdy nie miałam odwagi ci powiedzieć...

Luiza przygryzła wargę i zawahała się. Po chwili ciągnęła dalej:

— Moja matka była w ciąży, zanim wyszła za męż... — Opowiedziała dokładnie wszystko, czego dowiedziała się od Hildy. Pru słuchała uważnie. Na jej twarzy malowało się zdziwienie. — Widzisz więc, że dziadek nigdy nie zostawiłby mi Księżycowego Wzgórza, gdyby o tym wiedział — powiedziała Luiza z przygnębieniem.

Zapanowało krótkie milczenie. W końcu Pru przerwała je, mówiąc bardzo spokojnie:

— Ty i ja zawsze będziemy związane przez wszystko, co nam się przydarzyło. Jestem pewna, że dojdziemy do porozumienia i razem będziemy mieszkać na Księżycowym Wzgórzu, jeśli inni nam w tym nie przeszkodzą. — Uśmiechnęła się serdecznie.

— Pru, co takiego chciałaś mi powiedzieć, kiedy tu jechałyśmy?

— Ja... — Urwała.

W jej oczach pojawił się strach.

— Proszę, powiedz mi — nalegała Luiza.

— Boję się. Och, tak się boję! Wydaje mi się, że moje dziecko mogło być żywe, kiedy je pochowałam! Och, Lui, byłam pewna, że urodził się martwy. Nie pojmuję tego. Był zimny, bez życia, ale kiedy go pogrzebałam i położyłam na nim kamienie... — przełknęła ślinę — usłyszałam jego cichutki płacz!

— To niemożliwe, Pru. Zdawało ci się. Czy nie rozumiesz, że byłaś wtedy w szoku.

— Przypuśćmy jednak, że to nie był wytwór mojej wyobraźni. Gdybyś tylko wiedziała, jak bardzo pragnęłam trzymać w ramionach dziecko Andrzeja. Musiałam to sprawdzić!

— Od-ko-pa-łaś...? — wyjąkała Luiza.

— Oczywiście, ale wtedy nie było w nim już ani śladu życia.

— Musisz uwierzyć, że urodził się martwy. Nie możesz się tym cały czas zadrećzać. To niczego nie zmieni!

— Mówiłam ci, że badając płuca, można stwierdzić, czy dziecko oddychało. Wiem, że minęło dwadzieścia lat, ale jeżeli w ziemi jest torf...

Następnego dnia Luiza udała się do komisariatu, aby złożyć zeznanie o tym, jak została napadnięta.

— Powinien pan wiedzieć, iż wczoraj usłyszałam przypadkiem kłótnię między panem Le Fleetem a panem Kholem. Pan La Fleet nie ma nic wspólnego ze sprawą przemytu.

— Najwyraźniej nie wie pani, że pan La Fleet opuścił komisariat wczoraj, późnym wieczorem. O nic go nie oskarżono. Nie ma mowy o żadnych zarzutach — wyjaśnił grzecznie komisarz.

Czuła, jak krew napływa jej do twarzy. Prędko zmieniła temat.

— Czy znaleźliście mężczyzn, którzy byli w moim lasku?

— Myślę, że jesteśmy na właściwym tropie. Policjant odprowadził ją do drzwi i uśmiechnął się życzliwie na pożegnanie.

— Miała pani zupełną słuszość przychodząc do nas z informacją, która pani zdaniem mogła nam pomóc. Niewiele osób postępuje w ten sposób.

Ponownie się zaczerwieniła, ale on udał, że tego nie widzi.

— Życzę pani udanych wakacji. Wyjeżdża pani? — spytał.

— Zabierani swoją córkę do Kornwalii.

— Niech pani dobrze wypocznie. I proszę się nie martwić o Księżycowe Wzgórze, będziemy go pilnować!

Kiedy Luiza przybyła z Emmą do Fowey, była oczarowana. Domek Roba znajdował się na wzgórzu ponad bajkową przystanią, w której cumowały łodzie rybackie i jachty.

„Tu jest przepięknie. Wreszcie mogę się odprężyć i zapomnieć o wszystkim, co ostatnio przeżyłam” — pomyślała.

Opalała się na plaży, podczas gdy Emma bawiła się w pobliżu wody. Nagle, ku swemu zdziwieniu, spostrzegła Roba idącego ku niej.

— Przypuszczałem, że właśnie tu cię znajdę. Ślicznie wyglądasz! — powiedział z radością. — Wybrałem się na przejażdżkę i nawet nie zauważyłem, kiedy znalazłem się w Kornwalii... No, nie patrz tak na mnie. Wiem, obiecywałem, że nie będę tu przyjeżdżał, ale dzisiejszy dzień jest wprost wymarzony na wycieczkę. Poza tym chciałem sprawdzić, czy niczego ci nie brakuje...

— Jesteś niepoprawny!

— Podoba ci się tutaj?

— Cudownie! Szkoda, że Pru nie przyjechała z nami. Czy ktoś wie, że tu jesteś? — Na przykład panna Lyons?

— Nie, a dlaczego miałyby wiedzieć?

— Czyżbyś naprawdę się nie domyślał?

— Czego?

— Ona za tobą szaleje, Rob!

— Coś ty!

— To prawda. Jesteś bardzo atrakcyjnym i miłym mężczyzną. Szkoda, że nie mogę się w tobie zakochać. Już jest za późno.

— Może mogłabyś, gdybyś zechciała... Uśmiechnęła się i rzekła łagodnie:

— Opowiedz mi, co nowego w Hengeford!

— Masz szczęście, że nie ma cię w Hengeford. Wszyscy mówią tam teraz tylko o jednym. Ponoć George Khol był szefem gangu przemytniczego. Ponadto wykorzystywał swą pozycję w radzie dla własnych interesów.

— Jakich interesów?

— Skupował nieruchomości na terenach, gdzie miała być przystań, w nadziei na odsprzedanie ich z ogromnym zyskiem radzie i prywatnym nabywcom. Pomagał mu w tym Quince. George utworzył spółkę, która była uzależniona finansowo od grupy spółek za granicą.

— Bardzo skomplikowane — wtrąciła Luiza.

— To prawda, ale lokalne gazety już o tym piszą. Zwykle istnieje jakieś słabe ogniwo w łańcuchu, tym razem był nim John Quince. Nigdy mu nie ufałem...

— Zawsze uważałam, że jest dość rozsądny.

— W końcu zdruzziło mu się wykonywanie rozkazów George'a i Reggiego.

— Reggie mi się nigdy nie podobał. Przypuszczam, że on i George są odpowiedzialni za wszystkie nieprzyjemne incydenty na Księżycowym Wzgórzu.

— Molly przysięga, że George nic o tym nie wiedział. Ja jednak sędzę, że wiedział, ale patrzył na to przez palce. Reggie pragnął za wszelką cenę wkraść się w łaski George'a. Zmuszenie cię do sprzedania Księżycowego Wzgórza na pewno by mu zaskarbiło wdzięczność szefa. Tak czy owak, zapewne to wszystko wyjdzie na jaw w sądzie.

— Biedna Molly.

— Nie byłbym tego taki pewien. „Biedna Molly” stała się nową kobietą. Rozjeżdża się rollsem George'a i wydaje mnóstwo pieniędzy.

— Roześmiał się wesoło. — Ostatnie wydarzenia sprawiły, że nasze

miasteczko ożyło. Znowu powróciło zainteresowanie projektem budowy przystani. Ale dosyć o Hengeford. Chciałbym zabrać ciebie i Emmę na przejażdżkę.

Kilka dni później odwiedził je Morgan, gdyż Pru dała mu adres. Luiza szkicowała w ogrodzie, kiedy nagle ujrzała go.

— Nie mówiłaś, że wyjeżdżasz! — powiedział z wyrzutem w głosie.

Zbliżył się do niej i usiadł obok na trawie. Poczuela, że węgiel rysunkowy pęka jej w palcach.

— Gdzie jest Emma? — zapytał.

— Bawi się gdzieś w pobliżu.

— Wyglądasz nieźle...

— Czego chcesz, Morgan? — spytała cicho. Rozejrzał się dokoła, po czym znowu spojrzał na nią.

— Dobrze się stało, że wyjechałaś na pewien czas. Hengeford przypomina teraz dom wariatów. Nie miałem pojęcia, że komisariaty to takie ruchliwe miejsca...

— Byłeś tam? — zapytała, nie patrząc na niego.

— Chcieli, żebyśmy opowiedział im wszystko, co wiem na temat Reggiego. Pytali, jak on się znalazł na mojej łodzi.

— A jak się tam znalazł?

— Można by powiedzieć, że spłacałem dług. Z mojej winy miał kiedyś wypadek. Chciałem mu to wynagrodzić, a ponieważ lubił łódki, dałem mu pracę na swojej, nie zauważając, że on i George traktują mnie jak durnia i wykorzystują ją do własnych celów. Bóg jeden raczy wiedzieć, dlaczego dałem Reggieemu wolną rękę.

— A Quince?

— To facet opany manią zrobienia dużych pieniędzy. Był tylko pośrednikiem.

— W jaki sposób odkryłeś, co się dzieje?

— Jeden z moich znajomych opowiedział mi, co przypadkiem usłyszał będąc, w kawiarni. Quince wypił wtedy za dużo i pokłócił się z Reggieem. Pewnie nie zdawał sobie sprawy, że to, co mówi, może

być wykorzystane przeciw niemu. — Potrząsnął głową. — A ja dawałem Reggiemu tyle wolnego czasu, kiedy popłynęliśmy do Francji?

— Czy policja cię podejrzewała? — zapytała, chcąc zbadać, czy wie coś o jej nieudanej próbie jego obrony w komisariacie.

— Myślałaś, że mogą mnie podejrzewać? Zmieszanie sprawiło, że odpowiedziała bardziej obcesowo, niż zamierzała:

— Skąd miałabym wiedzieć? Nigdy nie rozmawiałeś ze mną o niczym zbyt otwarcie. No, na przykład o Heather. Nie mówiłeś mi, że jest chora. Dowiedziałam się o tym od innych osób — starała się szybko zmienić temat rozmowy.

— Chciałem ci o niej powiedzieć, kiedy za pierwszym razem przybyłaś do Staithes, ale ty nie chciałaś mnie wysłuchać. Pobiegłaś do ogrodu, zanim zdążyłem ci cokolwiek wyjaśnić — rzekł uszczypliwie.

— Tylko dlatego, że zachowywałaś się impertynencko!

— Niektórym kobietom podoba się to.

— Ale nie mnie. Ja lubię uprzejmym i miłym mężczyznom, takich jak Rob.

— O, tak. Wiadomo przecież, komu w takim związku przypadłyby pierwsze skrzypce.

Przeszyła go piorunującym spojrzeniem.

— Po co przyjechałaś, Morgan? — spytała.

— Zapewne rozbawi cię to, co teraz powiem. Otóż ubzdurałem sobie, że bardzo ci na mnie zależy. Widzisz, właśnie dowiedziałem się, że byłaś na policji i chciałaś złożyć zeznania w mojej obronie.

Utkwił w niej swój wzrok.

— Pomyślałem, że jeśli uda mi się wyjaśnić ci kilka spraw, to być może zmienisz niektóre ze swych surowych zasad i zechcesz ze mną zamieszkać. Teraz to nie ma już żadnego znaczenia.

W jego twarzy można było wyczytać żal i rozczarowanie. Podniósł się wolno, mówiąc:

— Przykro mi, że zabrałem ci czas — odwrócił się i szybko odszedł.

Po powrocie na Księżycowe Wzgórze Luiza była przygnębiona, Pru natomiast o wiele pogodniejsza niż zazwyczaj. Zabrała Emmę do kina, dzięki czemu Luiza mogła porządkować po przyjeździe swoje rzeczy.

Usłyszawszy dzwonek telefonu, zbiegła po schodach z przyśpieszonym tętnem. Od razu poznała głos komisarza. Słuchała tego, co jej mówił z wielkim przerażeniem.

Odłożyła słuchawkę i nie zdejmując z niej dłoni, pomyślała prędko: „Drzwi! Muszę pozamykać wszystkie drzwi!”

— Powiedzieli ci, że uciekłem, co? — odezwał się za nią męski głos. Odwróciła się. Ujrzała przed sobą wysoką, niezgrabną postać Reggiego.

Wyglądał okropnie, kiedy się uśmiechał.

— Ustawiają blokady na drogach, nie? — spytał.

Odwróciła się i zerwała się, by uciec. Chwycił ją za szyję.

— Pieniądze, tego właśnie od ciebie chcę, serdeńko — syknął.

Zrozumiała, że musi zachować spokój.

— Mam... mam pięćdziesiąt funtów.

— Nie bądź śmieszna. Masz więcej!

— Jeżeli znajdziesz, możesz je sobie wziąć.

— Nie próbuj mnie przechytrzyć! — Zacisnął dłonie na jej szyi. Zaczęła się dusić. — Gdzie one są? — zapytał z błyskiem w oczach.

— Torba... na górze...

Złapał ją za rękę i pociągnął w kierunku schodów.

Kiedy znaleźli się w sypialni, popchnął ją, że zatoczyła się przez pokój. Porwał z toaletki jej torebkę i otworzył portfel.

— Zastrane pięćdziesiąt funtów!

— Mówiłam ci.

Wepchnął banknoty do kieszeni spodni.

— Dobra. W takim razie się zabawimy. Nie udało mi się w lesie, no to teraz...

Opanowała strach i zapytała:

— Więc wtedy to byłeś ty? Nie poznałam cię. Przypuszczam, że namówiłeś swoich kumpli do udawania tancerzy morris, żeby mnie nastraszyć?

— Zgadłaś! Oni siedzą w areszcie, a ja jestem wolny!

— I przypuszczam, że to ty odkręciłeś kurki kranów.

— Wślizgnąłem się wtedy tutaj równie łatwo jak dziś. Jesteś jednak bardziej uparta, niż sądziliśmy. Nawet moje śliczne węgorzyki cię nie przestraszyły.

— George'owi musiało bardzo zależeć na Księżycowym Wzgórzu, skoro uciekł się do tyłu brudnych sztuczek, aby zmusić mnie do sprzedania go. — Starła się mówić spokojnie, ale czuła wzrastający w niej gniew.

— Spodziewał się w przyszłości dostać za ten dom grubą forszę. Ale mówiłem ci: to ja byłem mózgiem. George polecił zająć się tym wszystkim mnie, a nie takiemu jak Quince, który trzęsie portkami z byle powodu.

Luiza, podtrzymując rozmowę, czekała tylko na właściwy moment, by zbliżyć się do drzwi.

— I mój pies przyniósł mi chlubę — powiedział z dumą w głosie.

— Ty, podły gnojku! — wrzasnęła. — Wiesz, ile owiec zabił!

— Pożałujesz, że to powiedziałaś! — Doskoczył do niej i zerwał jej ramiączka sukienki.

Zaczęła krzyczeć. Zebrała wszystkie siły i pchnęła napastnika kolanem w brzuch. Wykorzystując jego zaskoczenie, wybiegła z pokoju. Już na schodach usłyszała, że biegnie za nią.

Wpadła do piwnicy i zasunęła rygiel. Była zziębnięta i przerażona. Nie chciała myśleć o tym, co ją czeka, jeśli Reggie wyłamie drzwi.

— Dostanę cię, ty suko! — wołał.

Zeszła w dół po zniszczonych stopniach. Nagle zamarła z przerażenia.

Usłyszała cichy śpiew. Rozpoznała słowa znanej jej z dzieciństwa kołysanki.

— Kołysz... dziecina... korona drzewa...

Na starym bujanym fotelu siedziała kobieta. Trzymała w ramionach dziecko i cicho nucąc, wyczesywała ziemię z jego włosów.

Luiza wydała okrzyk przerażenia.

Wróciła biegiem po stopniach, lecz Reggie w dalszym ciągu łomotał do drzwi. Owładnięta panicznym strachem, ponownie skierowała wzrok ku wnętrzu piwnicy. Widziadło zniknęło. Przez kratę w murze wpadał teraz do środka promień światła. Luiza ujrzała strzelbę.

Wróciła i podniosła ją. Fotel na biegunach był pusty. Drżąc wycelowała strzelbę w drzwi. Zaraz jednak zdała sobie sprawę, że nie jest zdolna strzelić, wiedząc, że z drugiej strony stoi człowiek.

Zamknęła oczy w rozpacz, po czym uniosła wysoko strzelbę i nacisnęła spust.

Nie przypuszczała, że broń narobi tak ogłuszającego hałasu?

— Idę po ciebie, Reggie! — wrzasnęła.

Drżała na całym ciele, kiedy otworzyła drzwi i weszła do pomywalni.

— Luizo!

Nie wierzyła własnym oczom, widząc Morgana wychodzącego z kuchni.

— Kieruje się w stronę Mielizn, proszę pana — usłyszała czyjś niespokojny głos.

— Zostań z nią! — nakazał Morgan i zniknął. Luiza wytrzeszczyła oczy na stojącego przed nim człowieka. Był to ten sam mężczyzna, którego po raz pierwszy ujrzała w Wookey Hole, a potem w kawiarni, kiedy spotkała się z Johnem Quince'em. Poznała go po rudych wąsach.

— Kim pan jest? — zaczęła zdumionym tonem.

— Proszę usiąść. Niech pani mi to odda. Wziął od niej strzelbę.

— Dlaczego jest pan tutaj?

— Kiedy pan Le Fleet usłyszał o ucieczce Reggie-go, natychmiast mnie tu wezwał.

Proszę się nie martwić, pan Le Fleet dostanie tego skur... dostanie go.

Luiza dopiero teraz odzyskała pełną świadomość tego, co się wydarzyło. Przemknęła przez kuchnię i popędziła w górę po schodach, żeby wyrzucić na Mielizny. Zaparło jej dech w piersi. Poprzez zasłonę zacinającego deszczu widziała dwóch mężczyzn biegnących po błocie. Dzieliło ich tylko kilka kroków. Nagle Reggie zatrzymał się nieoczekiwanie i rzucił się na Morgana. Luiza wstrzymała oddech. Mężczyźni mocowali się teraz, leżąc na ziemi.

— Morgan! — zawołała rozpaczliwym głosem i w tej chwili zrozumiała, że kocha go całą duszą, że zrobi wszystko, aby z nim być.

Ponownie wyjrzała przez okno. Jeden z mężczyzn ciągnął drugiego w kierunku plaży, gdzie czekali już policjanci.

— Proszę tu zostać, policja będzie chciała z panią rozmawiać. — Usłyszała za sobą czyjś głos.

Z niecierpliwością czekała na Morgana. On jednak nie pojawił się. Dowiedziała się, że wyjechał do Francji.

Następnego roku Rob poślubił Mary Lyons. Na przyjęciu Betty szepnęła:

— Czyż ludzie się nie zmieniają? Nawet ona wygląda teraz ślicznie. Nigdy nic nie wiadomo, prawda? Weźmy twoją gospodynię, okazała się być Prudence Clark, która pozbyła się...

— Nikogo się nie „pozbyła”, Bet. Dziecko urodziło się martwe. Dowiedziono tego — wyjaśniła Luiza.

Przypomniała sobie z jakim spokojem Pru przeszła tę próbę. Czy wobec tego, kiedy wydawało jej się dwadzieścia lat temu, że słyszy płacz niemowlęcia, rozbrzmiewał on jedynie w jej oszołomionym umyśle?

„Czy to, co widziałam i słyszałam w piwnicy też było tylko wytworem mojej wyobraźni?” — zastanawiała się.

To wszystko stanowiło dla niej zagadkę.

„Na pewno można to jakoś racjonalnie wytłumaczyć.”

— Mówiłam Emmie, że kupię jej o wiele ładniejszą laleczkę, ale ona nie chce zostawić tego obszarpanego brzydactwa — Molly wyrwała Luizę z rozmyślań.

— Dała mi ją ciocia Prudence — odrzekła Emma, jedną ręką obejmując lalkę.

— Chodź, dam ci soku pomarańczowego — zaśmiała się Molly.

— Ona ją zepsuje! — zażartowała Betty.

— Jest jej przybraną babcią. Babciom wolno rozpieszczać wnuczki.

— Molly tak bardzo się zmieniła, odkąd zamknęli George'a. Cieszę się, że on i Reggie dostali za swoje. Mówią, że Quince panicznie się ich boi, ale on wyjdzie z więzienia dużo wcześniej niż oni.

Ujrzały powracającą ku nim Molly.

— Zgadnijcie, czego się właśnie dowiedziałam! Hengeford będzie mieć swoją przystań jachtową. Prawdopodobnie Morgan zaferował swoją ziemię i dom.

— Morgan?

— Nie słyszałaś, moja droga? Powrócił z Francji.

— Morgan!

— Pru powiedziała mi, że cię znajdę tu, na plaży. Nie wiedziała, jak się zachować. Minął prawie rok od ich ostatniego spotkania. Słyszała, że kilka razy przyjeżdżał do Staithes. Nie kontaktował się z nią jednak, ona również nie zrobiła nic, aby się z nim spotkać. By zapomnieć, zajmowała się tysiącem różnych rzeczy. Praca pochłaniała ją tak bardzo, że zostawało jej niewiele wolnego czasu, kiedy mogłaby wracać myślami do przeszłości.

— Pomyślałem, że powinnaś wiedzieć. Rada przystępuje do budowy przystani.

— Tak, ja...

— Potrzebują Księżycowego Wzgórza, zwłaszcza Mielizn.

— Nie! To niemożliwe! — Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

— Powiedziano mi, że zaofiarowałeś Staithes.

— Staithes znajduje się zbyt daleko od miasta.

— Oni nie mogą...

— Niestety mogą — odrzekł miękko.

— Nie sprzedam!

— Wydadzą nakaz, jeśli tego nie zrobisz. Zaczęła iść wolnym krokiem.

— Ty, oczywiście, wiedziałeś, że to może się stać. Właśnie dlatego namawiałeś mnie do sprzedania Księżycowego Wzgórza dużo wcześniej.

— Tak, tylko nie za tak niską cenę, jaką ci wówczas proponowano — odparł.

— Ale czy nie nałożono takiego nakazu na każdego, kto by ode mnie kupił posiadłość?

— Nie, gdyby to był George! On wiedziałby, jak można uzyskać wysokie odszkodowanie. Na pewno zrobiłby na tym niezły interes. — Po chwili milczenia, rzekł nagle: — Szanuję cię za to, że postąpiłaś zgodnie ze swoją wolą i nie dałaś się zastraszyć. Wymagało to odwagi, a tej ci nie brak. — Powiedział to z taką czułością w głosie, że w Luizie odżyły wszystkie dawne uczucia.

Spojrzała na latające nad urwiskiem mewy i rzekła:

— Sądziłam, że jesteś zainteresowany budową przystani tylko dlatego, że widzisz w tym interes własnej firmy.

Zaczerwieniła się. Udał, że tego nie zauważył i ciągnął dalej:

— Złożymy radzie ofertę. Nie mamy jednak żadnej pewności, że zostanie ona przyjęta.

Stali teraz w miejscu, gdzie był przycumowany jego jacht.

— Chcę tej przystani, ponieważ dzięki niej w Hengeford wielu ludzi znajdzie wreszcie pracę.

— A co z dzikim ptactwem i przyrodą?

— Słuchaj, może porozmawiamy o tym na jachcie. Tam jest dużo cieplej niż tutaj.

— Doskonale się czuję. Wcale nie jest mi zimno — skłamała.

W kabinie, do której ją sprowadził, panowało przyjemne ciepło,

przypomniała sobie jednak, jak ostatnim razem stała tu przed nim naga.

— Przykro mi z powodu Księżycowego Wzgórza, Luizo. Wiem, jak bliskie jest ci to miejsce, mimo tego, co cię tam spotkało — powiedział, podając jej drinka.

— Więc wiesz o tym? O Pru i dziecku? Śledztwie?

— Tak, i odniosłem wrażenie, że Pru bardzo dobrze radziła sobie z całym tym rozgłosem. Radziłyście sobie obie.

— Była cudowna. Tak bardzo się cieszę, że wreszcie odzyskała wewnętrzny spokój. Jest zaangażowana w wiele akcji dobroczynnych, przyjaźni się z pewnym pastorem z Bristolu...

— Kiedy dowiedziałem się o tym wszystkim, chciałem natychmiast wrócić, zobaczyć, czy niczego nie potrzebujesz.

Ich spojrzenia spotkały się. Mówił dalej: — Ale to było niemożliwe. Heather mnie potrzebowała.

„Dlaczego pozwoliłam mu się tu przyprowadzić?”

— Mówiłeś, że chcesz mi przedstawić jakiś pomysł. Usiadł obok niej.

— Rada potrzebuje Księżycowego Wzgórza ze względu na grunt. Otóż, może zwrócilibyśmy się do nich z prośbą, aby dom został wykorzystany na ośrodek wypoczynkowy dla dzieci upośledzonych? Chyba że masz inne pomysły...

— Myślisz, że się zgodzą? Ożywiła się nagle.

— Jestem tego całkowicie pewien. Znam kilku radnych, którzy na pewno poprą plan, a i ja sam nie jestem bez wpływów w mieście. Bez wątpienia, uda nam się to załatwić.

— To wspaniała myśl! Oczywiście, najpierw musiałabym pomówić z Pru. Dom jest tak samo jej, jak i mój. Jestem pewna, że spodoba się jej pomysł mający na celu ocalenie domu od rozbiórki. Ona bardzo kocha dzieci.

— Bardzo bym chciał, żebyś razem z Emmą zamieszkała w Statithes.

— O, nie, Morgan — szepnęła.

— Jestem gotów uklęknąć przed tobą i prosić cię, abys się zgodziła.

„O, Boże, co on próbuje ze mną zrobić?” — pomyślała.

Wstała i rzekła cicho:

— Przykro mi, Morgan, ale nie mogę.

— Heather umarła dwa miesiące temu — przerwał, czytając w jej myślach.

— Tak mi przykro.

— Ona od dawna nikogo już nie poznawała. Myślę że śmierć uwolniła ją od wielu cierpień. — Urwał, a po chwili dodał: — Wreszcie znalazła spokój.

Luiza podeszła wolno do drzwi. Zatrzymał ją mówiąc:

— Proszę cię o rękę, Luizy. Nie mogę już dłużej czekać.

— Ale dlaczego wyjechałeś przed rokiem, nie mówiąc mi ani słowa! Czy sądziłeś, że nie należą mi się żadne wyjaśnienia?

— Ja...

— Nigdy nie powiedziałeś mi, że mnie kochasz. Czy myślisz, że ja...

— Nic o mnie nie wiesz — przerwał. — Nie mógłbym wyjechać z kraju, gdybym wtedy spotkał się z tobą. Czy ty tego nie rozumiesz?

Wziął ją w ramiona.

— Morgan! — powiedziała drżącym głosem.

— Proszę cię, nic nie mów. Zaczął ją namiętnie całować. Z nabrzeża dobiegło wołanie:

— Widział kto pana Le Fleeta? Morgan cicho zamknął drzwi na klucz.

— Wyjdiesz za mnie?

— Ale ja nic o tobie nie wiem — przedrzeźniała go z iskierką rozbawienia w oczach.

— Możemy temu zaradzić.

Zdjął z siebie sweter i patrzył na nią z pożądaniem.

Ponownie znalazła się w jego ramionach. Czuła, że tylko przy boku tego mężczyzny będzie w pełni bezpieczna i szczęśliwa.